W NUMERZE: JERZY PUTRAMENT ▪ ARTUR MARYA SWINARSKI ▪ STANISŁAW WYGODZKI



ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V | Warszawa, dnia 19 września 1948 r. | Nr 38 (199)

LOUIS ARAGON

Żdanow i my

17 sierpnia 1934 r., w Moskwie, w tej samej Sali Kolumnowej gdzie niedawno cały naród defilował przed szczątkami pośmiertnymi Andrzeja Aleksandrowicza Żdanowa, Maksym Gorki otwierał pierwszy kongres pisarzy radzieckich. Głos oddał jednemu z sekretarzy partii bolszewickiej, który miał pozdrowić zgromadzonych pisarzy. Człowiek ten był dla większości spośród nas, pisarzy zagranicznych zaproszonych na kongres, nieznany. Powiedział, że jedynie zwycięstwa odniesione pod sztandarami Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina pozwoliły na zebranie takiego kongresu, który bez tych zwycięstw nie mógłby się odbyć. To prawda, że był to kongres zupełnie nowego typu i że otworzył on drogę, nie tylko dla pisarzy radzieckich, ale dla pisarzy innych krajów, drogę ku nowej formie pracy, porozumienia i wspólnej walki pisarzy.

Żdanow mówił: „W krajach radzieckich zmienił się aspekt wszystkich rzeczy. Najistotniej zmieniła się świadomość ludzi. U nas „ludzie szlachetnie urodzeni" to dzisiaj budowniczowie socjalizmu, robotnicy i kołchoźnicy... Teraz — (mowa o świecie kapitalistycznym) — odbywa się ogólne karłowacenie przedmiotów i talentów, autorów i bohaterów... „Szlachtą" tej mieszczańskiej literatury, która sprzedała swoje pióra kapitałowi są obecnie złodzieje, detektywi, prostytutki, ulicznicy... Pomiędzy tymi pisarzami mieszczańskimi, którzy z całych sił chcą zamaskować, zgniliznę ustroju kapitalistycznego którzy udają, że nic się nie stało i przysięgają, że wszystko jest w porządku w państwie duńskim, odróżnia Żdanow inną kategorię pisarzy, którzy kierują się „pesymizmem, jako teorią i praktyką, w sztuce". Jednym i drugim przeciwstawia tę małą mniejszość, która szuka rozwiązania, wiążąc swój los z proletariatem i jego rewolucyjną walką.

Mówiąc o literaturze radzieckiej Żdanow powiedział, że jest optymistyczna lecz „nie przez jakąś zoologiczną dyspozycję wewnętrzną, jest optymistyczna z swej istoty, jak była nią literatura klasy wznoszącej się". I komentując słowa Stalina, który określił pisarza jako „inżyniera dusz ludzkich", powiedział: „Co to oznacza? Jakie obowiązki taka nazwa narzuca? Oznacza to, przede wszystkim, że trzeba znać życie, aby oddać je wiernie w dziele sztuki, nie jak rzecz martwą, lub po prostu „rzeczywistość obiektywną", lecz jako rzeczywistość w jej rozwoju rewolucyjnym". Łączyć się to powinno z zadaniem przeobrażenia idei i wychowania pracujących w duchu socjalizmu, i to w literaturze i krytyce ZSRR stanowi metodę nazwaną realizmem socjalistycznym. Ta literatura nie boi się oskarżenia o tendencyjność; i każdy pisarz radziecki mógłby odpowiedzieć tym, którzy by się z tego powodu oburzali: tak, nasza literatura radziecka jest tendencyjna i my jesteśmy z tego dumni, ponieważ tendencja ta ma na celu uwolnienie ludzi pracy, całej ludzkości z jarzma niewoli kapitalistycznej".

„Być inżynierem dusz,— powiedział jeszcze Żdanow — to znaczy stać obiema nogami na gruncie życia realnego. A to z kolei oznacza zerwanie z romantyzmem dawnego typu, romantyzmem, który opisywał życie nieistniejące i bohaterów nieistniejących i odwracał uwagę czytelnika od sprzeczności i trudności życia w kierunku świata nierealnego, świata utopii. Dla naszej literatury, stojącej obiema nogami na mocnym fundamencie materialistycznym, nie może istnieć romantyzm obcy (naszej rzeczywistości), romantyzm nowego typu, romantyzm rewolucyjny. Mówimy, że realizm socjalistyczny jest podstawową metodą literatury i krytyki sowieckiej, z czego wynika, że romantyzm rewolucyjny powinien wejść do twórczości literackiej jako część istotna, bowiem całe życie naszej Partii, całe życie klasy robotniczej opiera się na połączeniu codziennej pracy najsurowszej i najbardziej świadomej z podniosłym heroizmem i wielkimi perspektywami..."

I kiedy Żdanow dorzucił: „Literatura nasza powinna umieć pokazać naszych bohaterów, powinna umieć przeniknąć spojrzeniem naszą przyszłość. To nie będzie utopia, ponieważ nasza przyszłość przygotowywana jest przez świadomą pracę, planową, już dzisiaj" — przez umysły tych, którzy go słuchali przeszedł bardzo szczególny dreszcz, wywołany tym co ja nazwałbym chętnie romantyzmem marksistowskim, romantyzmem opartym na danych naukowych marksizmu, a nie na utopijnych mrzonkach, dreszcz, który towarzyszy przejściu od utopii do rzeczywistości naukowej, ten dreszcz, który odczuliśmy później, kiedy Gabriel Péri mówił o radosnym jutrze.

W Sali Kolumnowej, między dużymi, białymi filarami, tonącymi w świetle słonecznym i pod trasparentami czerwonymi i białymi w środku portretów wielkich pisarzy przeszłości Andrzej mówił o przyszłości. Mówił, że aby mieć prawo nazwać się inżynierem dusz ludzkich trzeba być mistrzem techniki literackiej i że nie zapominając, iż w tej dziedzinie jak w wielu innych proletariat jest jedynym spadkobiercą wszystkiego co jest najlepsze w literaturze świata, mamy obowiązek gromadzić to dziedzictwo i studiować je na podstawie krytycznej. Aby mieć prawo nazywać się inżynierem dusz ludzkich, trzeba czynnie walczyć o kulturę języka o jakość dzieła; trzeba nieustanną pracą nad sobą samym zbroić się ideologicznie i nadrobić opóźnienie w rozwoju świadomości przez związek z ekonomią, „od czego sami pisarze nie są wolni".

Słuchający go „Inżynierowie dusz ludzkich", stu siedemdziesięciu siedmiu pisarzy zabierających głos w obradach, dwustu dwudziestu z tytułu doradców oraz ich czterdziestu gości zagranicznych łącznie ze mną, którzy przybyli z szesnastu krajów, widzieli w człowieku przemawiającym na trybunie rzecznika Partii, która w ciągu dziesięciu dni wstrząsnęła światem i od 17 lat oddana była jego przebudowie... Pisarze zagraniczni nie widzieli jeszcze w Andrzeju Aleksandrowiczu Żdanowie tego człowieka radzieckiego, który mając lat szesnaście wszedł już do walki rewolucyjnej, w dziewiętnastym zaś roku znalazł się w ogniu wojny w Partii Lenina i który mimo skromności, odegrał już tak wielką rolę w Partii, której w trzydziestym ósmym roku był jednym z sekretarzy. Nie mogli wiedzieć, jak to wiedzieli robotnicy z Tuły i Gorkich, związani z nim wspólną walką o socjalizm, do jakiego stopnia człowiek ten głoszący idee będące wspólną własnością Partii, mówił osobiście, na podstawie swego indywidualnego doświadczenia, z poczuciem autorytetu i talentem, jakie daje takie doświadczenie.

Nagłe i okropne wypadki zmusiły ten talent do ujawnienia się.

Louis Aragon

Fragmenty wspomnienia o A. A. Żdanowie zamieszczonego w 224 numerze „Les Lettres Françaises".



Andrzej Żdanow

MIECZYSŁAW JASTRUN

NA WYDANIE DZIEŁ MICKIEWICZA

Gdzie grzmiącymi piersiami białe roztrąca się morze,
Gdzie kraj roztapia w lazurze lasy i skały nadbrzeżne,
Gdzie ledwie ślad wypalony jak komin dziś świadczy o Niemcach,
Gdzie świeża historia — już jak kopalne zwierzę
Zgrzyta kośćmi pod ostrzem oraczy, gdzie promień
Przewidujący nakreśla plany jutrzejszej budowy —
W srogiej ojczyźnie, o której pisałeś takimi słowami,
Że w ich obronnych granicach stała, choć była bez granic,
Być może nie ma już miejsca dla cienia obłoków i może
Nie trzeba jej wcale poezji. Być może jest prawdą, co kiedyś
Powiedziałeś, że przyszedł czas na poetów surowy
Budowania z kamieni, nie czas pisania.
Więc niech się tak stanie, gdy trzeba.
Niech za to mowa tutejszych ludzi, podobna do szumu
Lasów i fabryk, rozlewa się bardzo szeroko.
Po wsiach, gdzie biły pioruny, niech uwięzione w amperach
Stół oświetlają z jesionu, gdy wieczór się zbierze rodzina.
Pytasz czy będą szczęśliwi? Nie ma szczęśliwych narodów
I nie ma wyspy, na której już nigdy krew ludzka nie spłynie
Ale jest prawda wznoszenia rzeczy nowych i lepszych,
Choć muszą rodzić się w bólu, jak ludzie.
Widzisz, poezja jest dzisiaj jak rzeka, co zbiera dopływy,
Jej mowa, która służyła aniołom, nie maszynistom,
Uczy się znaków i kredę kruszy na twardej tablicy.
Jest dzwonek na przerwę. Słuchajmy chóru okrzyków i śmiechu,
Po przerwie zaczniemy na nowo. I wtedy przez drzwi uchylone
Na krajobrazy przyszłości niech wejdzie pierwsze jej słowo.

ANDRZEJ ŻDANOW

NA PIERWSZEJ LINII FRONTU IDEOLOGICZNEGO

(Wyjątki z przemówień)

(Wyjątki z przemówień.)

...Literatura radziecka nie boi się oskarżeń o tendencyjność. Tak, literatura radziecka jest tendencyjna, ponieważ nie ma i być nie może w epoce walki klas literatury nie klasowej, nie tendencyjnej, literatury rzekomo apolitycznej.

Sądzę więc, że każdy z literatów radzieckich może każdemu mieszczańskiemu tępakowi, każdemu filistrowi, każdemu pisarzowi burżuazyjnemu, który zająknie się o tendencyjności naszej literatury, powiedzieć, co następuje: „Tak, nasza literatura radziecka jest tendencyjna i dumni jesteśmy z jej tendencyjności, ponieważ nasze tendencje sprowadzają się do tego, by wyzwolić ludzi pracy — wyzwolić całą ludzkość od niewolniczego jarzma kapitalizmu".

Bądźcie więc aktywnymi organizatorami dzieła kształtowania świadomości ludzkiej w duchu socjalizmu.

(Przemówienie na pierwszym wszechzwiązkowym zjeździe literatów radzieckich. Sierpień 1934 r.)

▪

...Aby sprostać zadaniu wychowania komunistycznego mas pracujących, zadaniu przezwyciężenia pokutujących w świadomości ludzkiej pozostałości epoki kapitalistycznej, aby trafnie rozwiązywać praktyczne zagadnienia budownictwa socjalistycznego, aby być odpowiednio przygotowanym do walki z oblegającym nas kapitalizmem i jego agentami — nasze kadry winny być uzbrojone ideologicznie, tzn., że powinny znać prawa rozwoju społecznego i walki politycznej...

...nieraz już siły rozkładającego się kapitalizmu próbowały i raz jeszcze próbować będą powstrzymać nasz zwycięski pochód. Wiemy, że czekają nas jeszcze trudności. Zdajemy sobie sprawę z tego, jak zawiłe są stojące przed nami nowe zadania. Ale wiemy jednocześnie, jakie są warunki naszego ostatecznego zwycięstwa i znamy środki, przy pomocy których osiągniemy je.

(Przemówienie na 18 zjeździe WKP. (b). Marzec 1939 r.).

▪

...Powołanie literatury polega nie tylko na tym, aby dotrzymywać kroku potrzebom i żądaniom ludu — obowiązkiem literatury jest rozwijać smak ludu, podnosić poziom jego potrzeb i żądań, wzbogacać go o nowe idee, prowadzić cały lud naprzód.

...Stoicie na pierwszej linii frontu ideologicznego, zadania wasze są ogromne, są to zadania o znaczeniu międzynarodowym i to właśnie powinno zwiększać poczucie odpowiedzialności każdego literata radzieckiego wobec narodu, państwa, partii, budzić świadomość znaczenia pełnionego obowiązku.

...Imperialiści, ich totumfaccy w dziedzinie ideologii, ich literaci, ich politycy i dziennikarze wszelkimi sposobami starają się oczernić nasz kraj, przedstawić go w niekorzystnym świetle, starają się oszkalować socjalizm. W tych warunkach zadaniem literatury radzieckiej jest nie tylko parować niecne ciosy i napaści na naszą kulturę radziecką, na socjalizm, lecz także śmiało biczować samemu i atakować kulturę burżuazyjną, znajdującą się w stanie rozkładu i marazmu.

...Bolszewicy cenią wysoko literaturę, dobrze widzą jej historyczną misję i rolę w dziele cementowania moralnej i politycznej jednolitości ludu w dziele jego zjednoczenia i wychowania. Pragnieniem Centralnego Komitetu jest, by kultura duchowa rozkwitała u nas wszechstronnie, ponieważ w rozkwicie kultury widzimy jedno z głównych zadań socjalizmu.

(Z referatu o czasopismach „Zwiezda" i „Leningrad". Sierpień 1946 r.)

▪

...Kompozytorzy radzieccy mają dwa nadzwyczaj odpowiedzialne zadania. Główne zadanie — to rozwijanie i doskonalenie muzyki radzieckiej. Drugie zadanie polega na obronie muzyki radzieckiej przed przenikaniem elementów rozkładu mieszczańskiego. Nie wolno nam zapominać, że ZSRR jest w tej chwili faktycznym opiekunem kultury muzycznej całej ludzkości, podobnie jak pod każdym innym względem jest on obrońcą cywilizacji i kultury ludzkości przed rozkładem burżuazyjnym i zgnilizną kulturalną.

...Nie tylko muzyczny, ale i polityczny słuch kompozytorów radzieckich powinien być bardzo czujny. Wasz kontakt z masami ludowymi powinien być bliższy niż kiedykolwiek.

(Przemówienie na zebraniu muzyków radzieckich w KC WKP (b). Styczeń 1938 r.)

▪

...Świetne zwycięstwo socjalizmu, osiągnięte w Wielkiej Wojnie Narodowej, które stało się także świetnym zwycięstwem marksizmu, stanęło imperialistom kością w gardle. Centrum walki z marksizmem przeniosło się do Ameryki i Anglii. Wszystkie siły obskurantyzmu i reakcji rzucone zostały do walki przeciwko marksizmowi.

...Któż, jeśli nie my — kraj zwycięskiego socjalizmu i jego filozofowie — winien stać na czele sił walczących przeciw cynicznej i podłej ideologii burżuazyjnej; któż, jak nie my — powinien zadać jej druzgocące ciosy!

Ze zgliszcz i popiołów wojennych wyrosły państwa nowej demokracji, zrodził się narodowo-wyzwoleńczy ruch narodów kolonialnych. W życiu ludów socjalizm stał się sprawą bieżącą. Któż, jeśli nie my — kraj zwycięskiego socjalizmu i jego filozofowie — ma pomóc naszym przyjaciołom i braciom za granicą oświetlić ich walkę o nowe społeczeństwo blaskiem naukowej świadomości socjalistycznej; któż, jeśli nie my — winien dać im ideologiczną broń marksizmu do rąk!

W kraju naszym kwitnie bujnie socjalistyczna gospodarka i kultura. Stały wzrost świadomości mas stawia coraz to większe zadania przed działaczami w dziedzinie ideologii. Trwa szeroka ofensywa przeciwko pozostałościom kapitalizmu w świadomości ludzkiej. Któż, jeśli nie nasi filozofowie — ma stanąć na czele tego frontu ideologicznego, zastosować marksistowską teorię poznania do wyciągania wniosków ogólnych z ogromnego doświadczenia budownictwa socjalistycznego i do rozwiązywania nowych zagadnień epoki socjalizmu!

(Przemówienie na dyskusji o książce G. F. Aleksandrowa: „Historia filozofii zachodnio-europejskiej". Czerwiec 1947 r.)

STANISŁAW WYGODZKI

rysunki JANA LENICY

STOPNIE NIENAWIŚCI

Pokazywał mi roczne sprawozdanie jakichś spółek akcyjnych, zamieszczone w „Börsen Kurier". Na białym, niezadrukowanym brzegu gazety mnożył nieznaną mi cyfrę swoich akcji przez przypadającą mu dywidendę. Skończył, spojrzał na mnie i rzekł z uśmiechem:

— Es stimmt Haargenau!

Siedział u nas jakiś czas. W niemieckiej ambasadzie w Warszawie przedłużył swój paszport, załatwiali mu to sprawnie, bez przeszkód, komplikowała się jedynie sprawa jego ślubu z Haliną. Jako obywatelka polska nie mogła już pojechać do Berlina, on zaś nie posiadając wszystkich potrzebnych dokumentów zabiegał drogą listowną o uzyskanie ich, ale już wtedy poczęły się zjawiać jakieś drażliwe sprawy ze strony naszych władz. Niemiecki obywatel, czasowo przybyły...

Halina siedziała u swej matki w S., odwiedzałem je wtedy częściej i jak dawniej Halina zasiadała w saloniku do fortepianu, grając Schumana i Chopina. Miedziane, ciężkie włosy upinała jak dawniej. Była piękna.

Tymczasem wypadki toczyły się dalej. Niemcy za cichą aprobatą państw zachodnich zajęły, podobnie jak rok wcześniej Austrię, Sudety, a potem Czechosłowację, majątki braci K. z Sz., z których jeden zmarł, uległy konfiskacie, zarówno te w Austrii jak i te w Czechosłowacji, jedynie z Niemiec nadchodziły dokładnie, jego każdego miesiąca fotokopie stanu kont bankowych. Pakiet akcji, zamknięty w kasach zakładów w Sz., sprawiał, że ta korespondencja się nie urywała. Gdy nadeszła z Pragi wiadomość o konfiskacie majątków w Czechosłowacji, żyjący jeszcze wówczas K., postanowił dochodzić swoich praw. Jako obywatel polski nie mógł ryzykować podróży do Niemiec, gdzie mógłby może u władz centralnych uzyskać zwolnienie swojej własności, nie był wszak ani obywatelem niemieckim, ani austriackim, ani czeskim. Nie mógł go również zastąpić Ernst B., który wprawdzie posiadał szerokie plenipotencje, ale ograniczające jego prawa w wypadkach najwyższej wagi. A taki właśnie wypadek zaszedł. Któż mógł przewidywać możliwość konfiskaty majątku dokonanej przez rząd obcego mocarstwa? Nie mogły w tym wypadku zaważyć nawet takie argumenty, że ten obcy rząd przyszedł do Austrii na usilne prośby Austriaków, a do Czechosłowacji na gorące prośby Niemców sudeckich.

Wówczas to K., z Sz., wuj Ernsta postanowił pojechać do Londynu, aby via Paryż i Amsterdam poruszyć sprężyny, które by mu przywróciły własność posiadaną poza udziałami towarzystw akcyjnych. W Londynie spotkał grupę znajomych, Żydów i nie-Żydów, którzy w latach 1933 — 38 zdołali się wyrwać z Niemiec. Od nich dowiedział się prawdy o Niemczech. To nie jest dziwne, że w Sz., czy w pobliskim Zbąszyniu nie wiedziano nic o nadchodzącej wojnie, mimo że leżały na granicy niemieckiej. Wiedział o tym Madryt bombardowany przez Niemców, ale nie wiedziała Warszawa. Nie sądźmy źle naszej stolicy. Byli w niej ludzie, którzy wiedzieli i dlatego śpieszyli do dalekiej Hiszpanii walczyć o swoje miasto przeciwko Niemcom. Ale nie wolno było o tym mówić, a w Londynie mówiło się o tym otwarcie. Zwłaszcza po Monachium.

Ulegając namowom swych przyjaciół stary K., pozostał w Anglii i zamieszkał u swego młodszego brata w Liverpoolu. Stamtąd właśnie otrzymał Ernst list w którym stary K., wyraźnie pisał, żeby Ernst nie wracał do Niemiec. Pisał:

„W Niemczech nie ma już „Ostjuden", ale dyfamacja nieobecnych przeniosła się na wszystkich innych: na Żydów, demokratów i nie wiesz ilu komunistów siedzi w obozach koncentracyjnych. Wszystko co jest przeciwko nim, jest tak ostre, że ... o świcie doszli do granicy polskiej w pobliżu naszego miasta. Spotkałem dziś Heinricha Haasa, wiesz, że nie jest Żydem, ani komunistą, nie jest nawet socjaldemokratą, ale tam nie mógł zostać. Na nas zaczęli, bo to było najłatwiejsze, ale skończą na tych wszystkich, którzy nie chcą widzieć w wojnie jedynej możliwości rozstrzygnięcia wszystkich zawiłych ludzkich spraw z zakresu polityki i ekonomii. Odwiedzili mnie wczoraj Erica i Klaus. Mieszkają stale w Amsterdamie, ale zamierzają stamtąd wyjechać. Twierdzą, że po Monachium nie ma już wolnego miejsca w Europie, chyba w Zw. Radzieckim i w Ameryce. Ich ojciec już zresztą tam jest. Ale nie w tym celu mnie odwiedzili, dopiero po dłuższej rozmowie dowiedziałem się o co im chodzi. W pewnej chwili zapytali mnie, czy wiem co się dzieje z Ernstem. Sądziłem początkowo, że pytają o ciebie, powiedziałem im wtedy, że jesteś w S., w Polsce, ale nie o ciebie im chodziło. Pytali o naszego drugiego kuzyna, Ernsta Tollera. Powiedziałem, że nic wiem o nim nic bliższego, wiem jedynie, że mu się udało wyrwać z Niemiec, że nie ma już tu ... dawno. Pożegnali mnie i w gazecie o której teraz wiem, że nie zostawili jej przez zapomnienie, przeczytałem o samobójczej śmierci naszego kuzyna. To była jego ostatnia ucieczka. Wiem, że źle dzieje się ... Może go nawet nienawidziłeś za ten udział w strajkach w naszych zakładach w Oberigling, ale nasz kuzyn należał do rzędu tych ludzi, którzy nie potrafią odróżnić własnego dramatu od dramatu obcych im ludzi. Teraz gdy myślę o nim wydaje mi się, żeśmy się wszyscy mylili i źle oceniali to co w Niemczech narastało od owych lat, gdy nasz kuzyn zasiadał w radach robotniczych Monachium. Gdybym teraz miał wybierać, wybrałbym to pierwsze Monachium, a nie to obecne z H. z Berlina z D., z Paryża i Ch. z Londynu. Stamtąd wyszedłbym bez majątku, ale z życiem. Mówisz dobrze o Niemcach, bo usunęli nas, „Ostjuden" i mówisz o nich dobrze, bo wpłacają regularnie nasze należności do D. Banku. Ty to nazywasz porządkiem. W dziedzinie finansów i księgowości to jest w porządku, znam się na tym, ale jeśli pomyślę, że ci sami dokładni buchalterzy równie dokładnie w ciągu trzech dni, bez uprzedzenia, mogli wyrównać swój rachunek wobec obywateli polskich, którzy u nich przebywali, napawa mnie to obawą od której i adwokat Haas nie jest wolny. Kto potrafi z faktu przynależności do innego narodu uczynić sprawę państwową, narodową i przyczółek kontynentu całego, wydaje mi się podejrzany, nawet wówczas gdy skrupulatnie wpłaca moją należność. Nie wracaj tam. Radzę ci wyjechać dalej, bo w Polsce, jako niemiecki obywatel nie będziesz, najpewniej, mógł zostać. Życzę ci szczęścia — to brzmi jak paradoks — miałbyś je, gdybyś był „Ostjude". Jeśli chodzi o nasze sprawy w Austrii i Czechach (Montan—Werke, Rübeck) nie są one najgorsze. Nasza rodzina w Genewie i Liverpoolu również otrzymuje dokładne sprawozdania bankowe. Dopóki hitlerowcy nie wpadną do Szwajcarii i Anglii — nasza własność jest zagwarantowana".

Z listem tym przyjechał Ernst do nas. Zebraliśmy się, aby omówić sprawę jego wyjazdu. Był mój ojciec, jego siostra — matka Haliny, Halina, Ernst i ja. Ernst nie mógł zostać. W ambasadzie niemieckiej w Warszawie odmówili mu przedłużenia wizy — kazali mu wracać do Berlina. Wiedzieli o wszystkim. Uprzejma rozmowa z jakimś wyższym urzędnikiem nie zdołała przesłonić groźby. Pytali o akcje, pokazywali mu wykaz domu bankowego Schrödera z olbrzymim kontem firmy jego wujów, z którego nikt nie podejmował pieniędzy. Ten dokument był więcej niż wymowny, bo kilka dni wcześniej wiadomem się stało, że Schröder finansuje partię hitlerowską. Urzędnik uśmiechał się ślisko i patrzył bezczelnie w oczy Ernsta, który przecież nic nie rozumiał. Pieniądze firmy K., obywateli polskich, odpływały do kasy partyjnej NSDAP.

Ernst musiał zatem wyjechać. Halina siedziała milcząca i pierwszy raz spostrzegłem jak swymi spokojnymi, ciągle spokojnymi oczyma szukała ratunku. Nie mogliśmy go jej dać, sytuacja była bez wyjścia.

Kilka dni później Ernst przeszedł granicę polsko-węgierską, potem rumuńską. W dniu, gdy nadeszła jego pocztówka z Bukaresztu Halina znikła. Byliśmy zaniepokojeni. Odwiedziłem jej koleżanki i znajomych u których bywaliśmy, ale nikt o niej nic nie wiedział. Dwie siostry L., które prowadziły bibliotekę powiedziały mi, że ze zdumieniem przyjęły oświadczenie Haliny, która zwracając książkę nie wzięła nowej: twierdziła, że nie mogłaby jej zwrócić, ponieważ wyjeżdża na dłuższy czas. Zadzwoniłem do Sz., gdzie zresztą nikogo z bliskich nie było i administracja odpowiedziała, że Haliny tam nie ma. Wkrótce nadeszła od niej pocztówka. Pisała z Budapesztu. Następna nadeszła z Bukaresztu, ale z dopiskiem Ernsta. Byli więc razem. To wszystko się wydarzyło przed wrześniem i już po wybuchu wojny, z początkiem 1940 roku dotarli do Palestyny. Stamtąd właśnie nawiązali korespondencję z Henrykiem S., który się już był przedostał do Szwajcarii. Nie była to jedyna poczta spoza granic Szwajcarii, jaką Henryk otrzymywał. Listy Haliny przesyłane do Henryka, ten wysyłał do S., gdzie mieszkała matka Haliny. Tą samą drogą szły nasze listy do Haliny.

Henryk nie był obcy na terenie Szwajcarii, były to jednak wszystko znajomości zamknięte pewnym ściśle określonym kręgiem. Długoletnie stosunki handlowe z tymi ludźmi nie na wiele się teraz przydały, bo Henryk siedział w ich kraju nie jako kupiec, ale jako osoba zmierzająca spokojnie przeczekać wojnę. Napisałem „spokojnie", ale to nie żadne określenie dla tego co się z Henrykiem działo. W naszym mieście została rodzina, dalsza i bliższa, znajomi, przyjaciele, którym chciał pomóc. Można tę chęć różnie nazwać, ambicją, obowiązkiem, dobrą wolą, a każą nam mieć te wątpliwości, ponieważ Henryk doskonale sobie zdawał sprawę, że nie ma dla nas pomocy.

Teraz mi mówił:

— Wiedziałem, że to bez znaczenia, chociaż ta puszka mleka skondensowanego czy ta herbata, którą wam przysyłałem niejednemu uratowała życie. Ale gdy mówię słowo: ratunek, zdaję sobie sprawę, że się ono bynajmniej nie pokrywa z jego treścią, bo tak czy owak byliście skazani na śmierć. Mnie chodziło o sprawę inną — szerszą. Chciałem, aby ludzie wiedzieli co Niemcy u nas robią. wystrzegam się słowa „świat", świat nie uwierzyłby, ale chciałem, aby o wszystkim wiedzieli ludzie, przynajmniej ci nieliczni z którymi się stykałem.

Ernst przyszedł mu z pomocą. W jednym z listów prosił, aby Henryk odwiedził jego stryja, Fritza M. i oddał mu ukłony od niego, Haliny i jej matki, bo to właśnie on, Henryk jest tą osobą, która ich widziała po raz ostatni.

Postanowił skorzystać z tej okazji, bo jak się okazało Fritz M. był prezydentem Zrzeszenia Izraelitów Szwajcarskich, natrafił więc na centralne źródło oddziaływania na opinię Żydów przynajmniej, bo nikt z jego znajomych nie wierzył temu co opowiadał. Nie tylko w Szwajcarii. Pisał do Palestyny, Anglii, Ameryki, ale wszędzie napotykał na milczenie. Co się za nim kryło? Powątpiewanie, niedowierzanie, oschłość serca dla cierpienia innych ludzi? Nie wierzyli? Nie wierzyli. Przypominał im zatem Zbąszyn, który był sprawdzalny, widzialny, opisywany w prasie całego świata jeszcze przed wojną.

Szwajcarscy Żydzi odpowiadali: to była sprawa „Ostjuden".

— A więc co, że „Ostjuden"? To nie ludzie?

— Tak to ludzie, ale Niemcy chcieli oczyścić swój kraj.

Odpowiadał im:

— A co zrobili z niemieckimi Żydami?

— A to co innego — chcieli im zabrać majątki.

Na wszystko mieli odpowiedź usprawiedliwiającą, w miarę wykrętną, a może i obłudną:

— No, dobrze a to co teraz robią?

— To wojna. Prawo wojenne.

— Jakie prawo wojenne? W stosunku do kogo? Do starców, dzieci, kobiet? Przecież to ja widziałem jak ich żywcem palili zaraz, już pierwszego dnia po ich wkroczeniu do mojego miasta.

— Tak, ale my coś wiemy o tych „Ostjuden", wszędzie siali komunizm. W Rosji, Niemczech, Francji...

Do Fritza M., prezydenta Izraelitów dostał się z trudem. Ilekroć chciał zapowiedzieć swoje odwiedziny tyle razy mu mówiono, że prezydent zajęty, że nie może go przyjąć. Po wielu dniach dopiero się zorientował, że popełnił głupstwo gdy uzupełnił wobec urzędniczki pana prezydenta swe nazwisko danymi o miejscu skąd przybył. No cóż, czy mógł przewidzieć, że te dwa słowa: aus Polen zamkną mu drzwi do gabinetu pana prezydenta? Oczywiście nie po pieniądze chodził Henryk do prezydenta Izraelitów, chciał wykorzystać jego wpływy dla swej akcji uświadamiającej, a przy tym — jak można nie przyjmować uciekiniera? Wreszcie zniecierpliwiony powiedział któregoś dnia sekretarce, że ma polecenie od kuzyna prezydenta, że mu chce oddać pozdrowienia, że z góry się zastrzega, że nie o zasiłek mu chodzi, że, wprawdzie jest uciekinierem, ale niczego nie chce.

Ponieważ chodziło o sprawę prywatną prezydent polecił przez swą sekretarkę, aby Henryk odwiedził go w domu. Przybył punktualnie, ale przyjęto go w korytarzu, gdzie pozwolono mu długo czekać: Henryk nie przywykł do czekania, jak każdy człowiek, który w jakiś sposób gospodaruje swym czasem, przy tym był już zniechęcony tymi zabiegami, które — zdawało się — były niepotrzebne tam, gdzie chodziło o niesienie pomocy.

Rozmowa z Fritzem M., była zimna, może nawet nieprzyjazna.

— Polen, powiedział — a więc pan jest „Ostjude"?

Gdy prezydent powiedział „Polen", a po namyśle „Ostjude" Henryk zrozumiał jasno, jakie to przeszkody odsuwały możliwość uzyskania rozmowy. Pomyślał nagle, że o ile pomoc udzielana przez tego człowieka również podlega podobnej klasyfikacji, klasyfikacji na „Ost" i „West", to pomoc ta jest mocno problematyczna. Ostatecznie różni byli uchodźcy na terenie Szwajcarii: byli Żydzi z Niemiec, Austrii, Czechosłowacji, może pan prezydent targuje się z nimi przy wypłacie zasiłków, ale jasnym się stało, że z „Ostjude" prezydent nawet mówić nie chce. Czuł się dotknięty, ale przemógł te drażliwości, dla których nie było teraz miejsca, być nie mogło, bo nie o jego osobiste sprawy chodziło.

Oddał ukłony od Ernsta, Haliny i jej matki, którą Fritz M. znał z K., dokąd przyjeżdżał raz na rok na jakieś uroczystości rodzinne, należące do tradycji tamtego domu, ale Fritz M., wbrew oczekiwaniom Henryka nie okazał żadnego zaniepokojenia z tego powodu, że matka Haliny przebywała w Polsce i ten właśnie moment wydał się Henrykowi najdogodniejszym do omówienia sytuacji w jakiej się znaleźli Żydzi w Polsce pod panowaniem hitlerowców. Henryk zresztą niewiele wiedział, cóż, opuścił nasze miasto w cztery miesiące po wkroczeniu Niemców, ale to co sam w tym krótkim okresie przeżył wystarczyło już na poruszenie umysłów, świadomości, sumienia innych ludzi, Żydów zwłaszcza. Opowiedział Fritzowi M. o pożarze wywołanym pierwszego dnia, o paleniu żywcem, o przeżyciach zakładników wszystko, sprawy które znał z własnego doświadczenia.

Fritz M. słuchał spokojnie, ale w pewnej chwili zniecierpliwiony, przerwał opowiadającemu:

— Ja to już znam. Już od wielu dni różni ludzie mi opowiadają te historie zasłyszane od jakiegoś „Ostjude", przybyłego niedawno z Polski. To dobrze, że nareszcie poznałem tego, który opowiada, te niestworzone historie. Spoglądał na Henryka wzrokiem zimnym, odpychającym, niedozwalającym dyskusji.

— Jak mam zrozumieć pański zwrot o „niestworzonych historiach"?

Fritz M., nie odpowiedział. Wstał od biurka i zbliżył się do szafy z której wyjął kilka teczek. Zajrzał do jednej z nich, wyciągnął jakiś arkusz, który podsunął Henrykowi pod sam nos.

— Pan umie czytać?

Impertynencja była zbyt jaskrawa. Henryk wstał i powiedział:

— Nie umiem.

Szedł ku drzwiom.

— No, to ja panu przeczytam.

Pan prezydent Fritz M., spostrzegł, że przeholował.

— Pan mi powiada, że Niemcy mordują Żydów, a tu niech pan patrzy.

Henryk stał już w drzwiach.

— Niech pan spojrzy, proszę wybaczyć że się uniosłem, ale to niesłychane to co pan opowiada. Niech pan spojrzy. Oto sprawozdanie Dresdner Banku, a to domu bankowego Schrödera, to są cyfry dotyczące nie tylko naszych interesów w Niemczech, ale w Austrii i Czechosłowacji. Nie brak ani feniga, wszystko się zgadza, czy sądzi pan, że człowiek uczciwy potrafiłby zabić? Że Niemcy walczą z bolszewizmem to jasne, że wśród Polaków i Żydów są komuniści to zrozumiałe, wy jesteście ludźmi wschodu, ale naród Goethego i Schillera nie morduje. Jeśli niweczy swoich wrogów — cóż w tym dziwnego?

Henryk nic nie mówił. Stał oparty o bibliotekę i odczytywał tytuły książek. Specjalna biblioteka dzieł judaistycznych — pomyślał. Obok dzieł Herzla, Zangwilla, Bubera tkwił tom Heinego oprawny w czerwone płótno. Na grzbietach dwóch map ułożonych poprzecznie przeczytał: Liebermann i Izraels. Fritz M. spostrzegł, że Henryk go nie słucha.

— Sie erzählen mir ja aber schöne Räubergeschichten!

W ten sposób Henryk stracił okazję zainteresowania sprawą Żydów polskich organizację mającą bądź co bądź jakiś wpływ wśród swoich członków. Do czegóż mogły jeszcze prowadzić rozmowy z poszczególnymi ludźmi, skoro prezydent zjednoczenia określił okropności dziejące się w naszym kraju jako „Raübergeschichten"!

Kilka dni później Henryk otrzymał relację strony przeciwnej. Na przyjęciu u swoich znajomych zjawiła się pani, która w przeddzień mówiła z prezydentem Fritzem M. i teraz — nie wiedząc, że opowiadanie prezydenta odnosiło się do obecnego tutaj Henryka — opowiedziała treść tej rozmowy. Fritz M. przyznał się swojej znajomej, która mówiła teraz o tym obecnym z miłym uśmiechem, że nie chciał przyjąć tego „Ostjude", sądził bowiem, że chodzi o pomoc materialną, a tę chętniej rezerwował dla uchodźców z Niemiec, Austrii, Czech. Ale okazało się, że ów „Ostjude" to bliski znajomy kuzyna pana prezydenta Ernsta B., przebywającego obecnie w Palestynie i chciał oddać panu prezydentowi ukłony od matki żony, Ernsta, przebywającej w Polsce. I proszę sobie wyobrazić — ciągle uśmiechając się pragnęła jednocześnie udawać zdziwienie — w toku rozmowy ten „Ostjude", przybyły niedawno z Polski opowiedział naszemu panu prezydentowi jakieś niestworzone historie o tym, co Niemcy rzekomo wyprawiają w Polsce.

Powtórzyła zdanie wypowiedziane już przez Fritza M. w czasie rozmowy z Henrykiem.

— Sie erzählen mir ja aber schöne Räubergeschichten!

Henryk, skłoniwszy się gospodyni domu, powiedział:

— To ja jestem tym „Ostjude", który opowiada te Räubergeschichten.

Gdy mi Henryk teraz opowiada o tym rozkłada ręce bezradnie, zapewne tak jak wówczas w owym domu szwajcarskim w obecności osób, które nie chciały uwierzyć temu o czym mówił. Ale to co mnie zastanawiło, to ów upór, czy jak to nazwać, który im kazał, przed wojną jeszcze, widzieć w każdym obcym Żydzie ze wschodu twór, który się wobec nich mógł legitymować ryciną ze „Stürmera". Opierając się na opowiadaniu Henryka, jak Żydzi szwajcarscy przyjmowali wiadomości o tym co się dzieje w naszym kraju, sądziłem, że jestem na tropie jakiejś teorii uogólniającej to zjawisko, w ten mniej więcej sposób: nie tylko Żydzi, ale każda mniejszość narodowa upodabnia się do swego otoczenia, że mniejszość narodowa nie potrafi na dłuższą metę zachować swojej odrębności narodowej, a upodobnienie to sprawia, że Żydzi polscy są bardziej podobni do Polaków, aniżeli do Żydów francuskich. Wykoncypowałem ten układ tworząc w imaginacji jakiś łańcuch współzależności: Żydzi niemieccy musieli zatem być bardziej podobni do Niemców, aniżeli do Żydów angielskich. Teraz wiem, że się myliłem, sprawa była inna, nie tak prosta i teraz jeszcze, mimo, że nad opowieścią Henryka myślałem przez wiele miesięcy nie potrafię jeszcze tego wszystkiego sformułować. Może opowieść ta spisywana w wielkim skrócie i pośpiesznie unaoczni to co mnie nurtuje od dawna.

Niewątpliwie wyższa kultura otoczenia wpływa w sposób zdecydowany na kulturę mniejszości narodowych, ale czy nie należy podważyć pojęcia samego, pojęcia kultury wyższej? Czy świadczy o wyższej kulturze Ernsta, Fritza i im podobnych, to, że mówią z pogardą o ludziach pochodzących z innej części Europy? Bo przecież fakt, że w pewnych krajach Żydzi zachowali pewną odrębność, bynajmniej nie świadczy przeciwko nim ile raczej przeciwko ich otoczeniu w którym stanowili mniejszość, najczęściej gnębioną, tymczasem w pewnych warunkach tę właśnie odrębność cenimy i wychwalamy, że przypomnę Polaków z Westfalii. Wiem, że ten mój komentarz wybiega daleko poza ramy opowiadania, bo też nie o opowiadanie mi chodzi, tylko o problem.

Jednych i drugich trzymała wiara, język, może obyczaj, ale w takim razie co stanowiło o spójni Żydów niemieckich, którzy od dawna już nie zachowali żadnych wspólnych zewnętrznych cech ubioru, ani wewnętrznych— wiary czy języka? A więc wyższa kultura niemiecka?

W tym okresie gdy Henryk przybył do Szwajcarii, gdy opuszczał Polskę, pozostającą pod okupacją hitlerowską zaledwie od trzech miesięcy, kultura ta objawiła się w całej swej grozie: Ernst otrzymywał dokładne wykazy bankowe, ale w moim mieście rodzinnym i w setkach innych miast i miasteczek polskich Niemcy palili domy — dokładnie — z ich mieszkańcami. Niemcy twierdzą, że o niczym nie wiedzieli, ale Żydzi szwajcarscy, którym Henryk o rzeczach tych opowiadał wiedzieli, lecz nie wierzyli. Proszę nie stawiajcie między tymi dwoma członami mego rozumowania znaku równania, bo nie do tego zmierzam. To, że te sprawy bolą was i — zapewniam — mnie, nie znaczy, że nie należy ich sobie wyjaśnić. Czy nie wierzyli więc dlatego, że im się to w głowie nie mogło pomieścić, czy dlatego, że znając Niemców uważali te ich czyny za „Räubergeschichten"?

Tymczasem w opowiadaniu Henryka zarysowało się coś innego, coś czemu na pewno nie chciał nadać tego kształtu, który ja już spostrzegałem, to prawda, w płynnych jeszcze zarysach.

Od czasu rozmowy z prezydentem Izraelitów i ową panią napotkaną u znajomych — unikał spotkań z tymi ludźmi. Nie górowali nad nimi, ani intelektualnie, ani pod żadnym innym względem, nie mógł jedynie znaleźć z nimi wspólnego języka. Po prostu nie rozumieli go. Siedział nadal w Szwajcarii i z tego neutralnego terenu wysyłał na wszystkie strony świata korespondencję, która jedynie do Szwajcarii mogła jeszcze nadchodzić. W tym czasie przysłał nam kilka listów od Haliny i jej męża z Palestyny. Odpisaliśmy tą samą drogą.

W 1942 roku nagle się zjawił w mieszkaniu Henryka Fritz M. Dygocącymi rękami wyciągnął z kieszeni 3 pocztówki otrzymane niemal jednocześnie z Frankfurtu, Berlina i Ulmu. Jego rodzina w Niemczech donosiła mu z trzech tych miast jednocześnie, w słowach pełnych niepokoju i skreślonych w pośpiechu, że władze przesiedlają ich na wschód. Mimo zdenerwowania starają się zapakować wszystko, bo władze na to pozwalają, w pierwszym zaś rzędzie pakują bieliznę, pościel, kosztowności, meble są niepotrzebne, bo tam na wschodzie, gdzie się mają osiedlić, czekają na nich w wygodnych domach kompletne urządzenia. Niemcy tworzą tam państwo żydowskie. Jedynie w liście z Berlina wspomniano nazwę tej miejscowości: Treblinka bei Bialystok.

Prezydent Izraelitów Fritz M. pragnie od Henryka usłyszeć co to za miasto, czy jest ono wielkie, czy są tramwaje, kina, ein Café. O byt materialny swej rodziny był spokojny. Również oni otrzymywali swoje miesięczne wykazy bankowe. Wprawdzie wolno im było podejmować z banku tylko po 250 marek miesięcznie, ale to wystarczyło, bo miesięczny przydział żywnościowy kosztował zaledwie 25 marek. W końcu zapytał, co Henryk sądzi, czy tam umieszczą wszystkich Żydów z Europy, tych z Niemiec, Francji Holandii i tych z...

Zawahał się i nie dokończył zdania.

Henryk nie wiedział wówczas co to jest Treblinka, dla niego nie była zresztą ważna nazwa miejscowości, do której Niemcy wysyłają wszystkich Żydów. Wiedział coś niecoś o tych gromadnych miejscach zbrodni z artykułów Erenburga. On wiedział i wierzył, inni machali ręką: Russische Propaganda. Na pytanie Fritza M. nie odpowiedział. Patrzył na niego z ukrywanym politowaniem.

Po dwóch tygodniach Fritz M. znów odwiedził Henryka. Pokazał mu znów 3 listy, które nadeszły jednocześnie od jego rodziny z Polski. Krewni pisali wprawdzie bez zachwytu, ale bardzo rzeczowo o miejscowości, w której mają zamieszkać. Są jeszcze na stacji i korzystają z zezwolenia władz powiadomienia swych bliskich o przybyciu na miejsce. W Niemczech bliskich nie było, mogli być jedynie poza zasięgiem władzy niemieckiej i tam właśnie zmierzały te listy. Uspakajały. Krewni donosili, że nikt jeszcze nie mieszka w osiedlu widocznym zdala, że są pierwszymi przybyszami, nie ma również „Ostjuden", widocznie dla nich stworzą państwo odrębne. Władze są sehr nett.

Fritz M. był zadowolony, Henryk milczał.

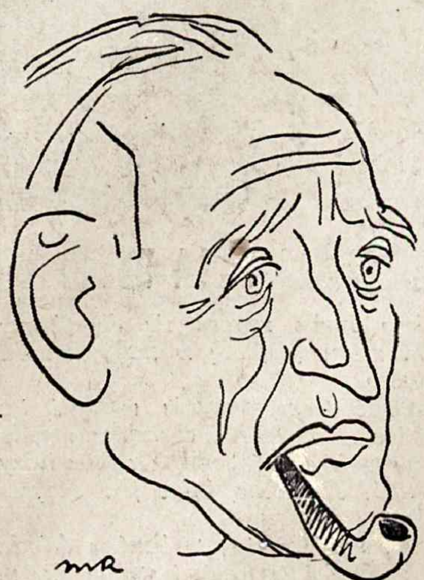
— I co pan na to?

— Bardzo się cieszę, że rodzina pana tam przetrzyma wojnę.

(Dokończenie na str. piątej)

STANISŁAW SZENIC

MAX PECHSTEIN



rys M. Rudnicki

Max Pechstein

Wielu malarzy europejskich pierwszego dziesiątka naszego wieku jak gdyby przeczuło zbliżający się okres gospodarczych i wojennych katastrof, okres przekształcenia stosunków społecznych, przemiany struktury gospodarczej i zmiany mapy świata. Mieszczańscy filistrzy siedzieli na pełnych trzosach, dufni w niezmienność ustalonego porządku rzeczy, w nieprzemijający dobrobyt i w niezachwianą siłę nabywczą swych talarów, gdy nieliczni artyści, instyktownie przeczuwając nadchodzące zmiany, szukali w sztuce nowych dróg, aby wzruszyć zmurszałe sumienia, aby uchwycić nowo rodzące się warunki bytu. W ten sposób można z perspektywy oceniać twórczość szeregu wybitnych malarzy, której początki zbiegły się z początkiem dwudziestego wieku.

Do nich należy niewątpliwie znany malarz niemiecki, profesor Maks Pechstein, jeden z wybitniejszych uczestników kongresu intelektualistów we Wrocławiu. Urodził się w ostatnim dniu 1881 r., na jednym z przedmieść saskiego Zwickau. Ojciec jego, majster w fabryce tekstylnej, miał do wyżywienia sześcioro dzieci. Nie zawsze można było im zapewnić codzienne potrzeby, wcześnie musiały pracować na siebie. Maks, który już jako młody chłopak rysował co się dało i czym się dało, został uczniem malarskim. Zaraz po złożeniu egzaminu na czeladnika, wywędrował do pobliskiej stolicy Saksonii, do Drezna, gdzie nie zrażając się brakiem pieniędzy, zamienił pędzel malarza pokojowego na paletę malarską i w 1900 r. został uczniem Drezdeńskiej Szkoły Rzemiosł Artystycznych. Zaczął się okres największych ograniczeń, długie miesiące głodu, gdy ranna kawa z bułką były całodziennym posiłkiem. Jako czeladnik malarski opanowawszy wiele dziedzin sztuki dekoracyjnej, dostarczał projektów na tapety, pudełka do papierosów, kałamarze, lampy, meble, kraty dekoracyjne i tym podobne. Poza tym malował. Rok 1906 przyniósł zasadniczą zmianę. Pechstein poznaje Erika Heckela, Kirchnera i Schmidt-Rottluffa, młodych malarzy drezdeńskich, z którymi wspólnie zakłada stowarzyszenie malarskie „Die Brücke". Wynajmują pusty sklep, na którymś z przedmieść drezdeńskich. Malarstwo jest dla nich teraz jedynym celem. Wzorami van Gogh i Munch. Tak wyglądały początki ekspresjonizmu niemieckiego. Pierwszą wystawę urządzono w jakiejś sali fabrycznej. Publiczność nie potrafiła rozgryźć nowego kierunku, większość krytyk uważała ekspresjonistycznych malarzy po prostu za wariatów, wystawiających twory pomylonej wyobraźni. Żaden z krytyków nie docenił śmiałości rysunku — jakgdyby nie kresek na papierze, lecz pociągnięć dłuta w twardym materiale — oraz śmiałych zestawień kolorów, zawsze jednak sharmonizowanych. A przecież zaledwie w kilka lat potem obrazy tych pomylonych artystów były umieszczane w galeriach. Już jesienią 1907 r. Pechstein uzyskuje stypendium Akademii Drezdeńskiej. Ten przyzwyczajony do najdalszych oszczędności człowiek odbywa za niewielką sumę kilkumiesięczną podróż do Włoch i Francji. We Włoszech interesują go Giotto i Fra Angelico, mozaiki w Rawennie oraz w ogóle nikłe pozostałości starej kultury etruskiej. W Paryżu, gdzie spędza zimę, rzadko bywa w siedzibie malarzy, „Café du Dôme, lecz szuka towarzystwa rewolucjonistów rosyjskich i fińskich, których rok 1905 zagnał do ówczesnej stolicy świata. Po powrocie do Niemiec opuszcza Drezno i osiedla się w Berlinie, wystawiając w 1909 r. w Nowej Secesji między innymi obraz przedstawiający trzy nagie kobiety, zatytułowany „Żółta chusta". Ten sposób ujęcia kobiety



Wyjazd na połów

pozostaje charakterystyczny dla całej jego twórczości. Nie maluje on kobiet pięknych w potocznym tego słowa znaczeniu, lecz kobiety tęgie, jakby bryły, pełne zwierzęcego animalizmu i instynktu, bliskie pierwotnej natury. Krytycy poczynają rozumieć i doceniać imponującą siłę, tkwiącą w obrazach młodego malarza. Sukces był duży, szereg wystawionych obrazów znalazło nabywców.

Jednak mieszczańskie kryteria wzięły górę. Jury Secesji przestraszyło się swojej odwagi i na wiosnę 1910 r. odrzuciło wiele dzieł zarówno Pechsteina jak i malarzy jego koła. Pechstein bojownik przyjmuje wyzwanie. Wynajmuje pusty sklep i stwarza „Nową Secesję". Przyłączają się do niego malarze, skupiający się koło monachijskiego stowarzyszenia „Blauer Reiter" o jakże obecnie sławnych nazwiskach: Franciszek Marc, August Macke, Kandinski. Zyskują coraz więcej zwolenników. Mnożą się nabywcy obrazów. Równocześnie Pechstein rozwija wielką twórczość graficzną. Próbuje każdej techniki, stwarza kilkaset drzeworytów, litografii i akwafort. Odkrywa morze, nad którym spędził długie okresy swego życia i które w twórczości jego zajęły wiele miejsca. Przebywa nad Bałtykiem blisko Królewca. Rozumie, że nie wystarcza oddać to tylko, co widzi wzrok, że trzeba obraz nasycić własnym przeżyciem. A jak głęboko potrafi oddać codzienną szarą pracę najprostszych ludzi, ileż ekspresji jest w trudzie rybaków, w obrazie, zatytułowanym „W łódce" lub „Wyjazd na połów".

W łódce

W latach 1911 i 1913 Pechstein jedzie znowu do Włoch, tym razem nad morze. Tutaj pogłębia wyczucie barwy, pejzaże zalane włoskim słońcem stają się orgiami barw, ale ile w nich jest zawsze harmonii.

Rok 1914 pozwala spełnić najtajniejsze marzenia Pechsteina. Wraz z młodą żoną jedzie na wyspy południowe Pelew, aby wśród tubylców z ich dziwnym wyczuciem piękna i wśród oszałamiającej przyrody podzwrotnikowej, tak jak Gauguin, zgłębić tajniki sztuki. Pobyt Pechsteina na wyspach mórz południowych niespodziewanie skraca wybuch wojny. Jeszcze pod koniec 1914 r. Japończycy zajmują wyspy i internują Pechsteina. Przez Stany Zjednoczone po pełnej przygód podróży, wraca jesienią 1915 r. do Niemiec. Przez krótki czas bierze udział w walkach we Francji, po czym szczęśliwe zwolnienie z wojska pozwala mu od 1917 r. podjąć pracę malarską. Według szkiców wykańcza obrazy z wysp Pelew, pełne egzotycznego prymitywizmu. Sława jego wzrasta. W 1922 r. zostaje członkiem Akademii Sztuki, i odbywa dalsze podróże do Włoch i Francji. W 1926 r. wykonuje witraże dla Międzynarodowego Urzędu Pracy w Genewie. Sztuka jego pogłębia się. Staje się spokojniejsza, pociągnięcia pędzla są mniej namiętne, obrazy jednak cechuje głębia, jakby zdołały uchwycić coś z kosmosu, ostre kolory i mocne cienie oddają wewnętrzne wizje natury. Nawet najzagorzalsi przeciwnicy nie mogą Pechsteinowi odmówić umiejętności rysunku. Kilku kreskami potrafi stworzyć żywe postaci.

Z dojściem Hitlera do władzy Pechstein dostaje się na listę artystów zakazanych; sztukę jego uważa się za wynaturzoną. Nie wolno mu wystawiać ani sprzedawać obrazów. Pechstein zaszywa się na Pomorzu w Łebie. Tam powstaje wiele krajobrazów pomorskich, w obrazie „Las zalany słońcem" ujawnia się uspokojony ekspresjonizm Pechsteina. Lata mijają, Pechstein wita w Łebie oswobodzicielską armię sowiecką. Maluje jeszcze obraz Matki Boskiej do kościoła w Łebie (uważa go sam za jedno z lepszych swych dzieł) i wraca do Berlina, gdzie zostaje profesorem klasy malarskiej w Akademii Sztuk Pięknych. Człowiek o dziwnym uroku niespotykanej prostoty, pozbawiony wszelkiej pozy, uczy swych uczniów nie tylko malować, lecz stara się wzbudzić w nich miłość do stworzeń i natury.

Stanisław Szenic



Żółta chusta

ARTUR ADAM MIĘDZYRZECKI

STRONY PRZYDROŻNE

Jesteś punktem na strunie, lampą srebrnego skraju
Apulijskim balkonem i dyszlem złotym od gwiazd
Przychodzisz śpiewna — z ciebie strzęp melodii nazajutrz
I ziemi smak na wargach i szelest porannych nazw.

Ogród świetlików już mijałem na wojnie nieraz
Niósł mnie silnik pancerny przez wiorsty przydrożnych stron
Pociski pękały jak w strofie Apollinaire'a
Gdy salwy — mimozy ognia — wykwitały nad front.

Teraz ciszej. Północą rośnie szum chybotliwie
I lampy schodów gasną w zaułkach zawiłych brył
Jesteś gniewem, na który wolno sypie igliwie
Mrok zaczęty na wieży, w rzeczny rzucony ił.

Sprawisz, nadmorski koń powieje stustrunną grzywą
Len i kaolin statki przywiozą na bliski ląd
I nad prawdziwą bocian zaszybuje Niniwą
I czujny rozkwieci wiersz araukarię i klon.

Może kiedyś świt wytrwa do smugi kroków późnych
Do lutni siwych bardów i do dzwoniących klechd —
A taka prosta jest noc — mandolina gra w kuźni
I jak płomienny instrument syczy czerwony miech.

Rozmowa z autorem »Dziwnej zabawy«

Rogera Vaillanda, autora czwartej książki KO nie zastałem w jego pokoju. Idąc za radą portiera przypatruję się pilnie wszystkim „zagranicznikom" przepływającym przez hall hotelu „Bristol". Wszystkie podejrzane o Vaillanda typy mówią jak na złość po francusku.

W końcu pytam czarnego, chudego i przystojnego pana, czy nie zna przypadkiem...?

— To właśnie ja. Służę chętnie, bo jako dziennikarz wiem, ile nieraz wysiłku potrzeba, aby zmusić literata do wynurzeń. Dla Klubu „Odrodzenia" jestem gotów opowiedzieć panu nawet mój życiorys...

— Jestem synem architekta. Wie pan — takiego małego architekta. Dość wcześnie pokłóciłem się z rodzicami. Było to następstwem pewnej wewnętrznej rewolty. Potem byłem „surrealistą" i to dość długo. Z kilkoma kolegami założyliśmy pismo. Oczywiście — nie było pieniędzy. Wyszły cztery numery i skończyło się. Dziennikarstwa jednak się nie wyrzekłem. Pasjonowały mnie wielkie reportaże. Włóczyłem się po świecie; byłem w Abisynii w 1932 r., potem w Hiszpanii, przed walkami wolnościowymi. Ostatnia wojna zastała mnie w Rumunii, gdzie pracowałem na rzecz propagandy francuskiej. Po powrocie do kraju nie byłem zmobilizowany i powołano mnie do wojska dopiero 1 czerwca 1940 roku. Byłem tylko w jednej bitwie z... Czechami.

Musiałem mieć dość niepewną minę, bo Vailland zaraz wyjaśnia:

— Niech to pana zbytnio nie dziwi, ale fakt ten daje pojęcie o ówczesnym dowództwie francuskim. Czesi chcieli uciekać do Anglii, a Petain chciał oddać Czechów Niemcom. Kto tam wtedy wiedział o co chodzi! W czasie okupacji byłem na południu Francji; brałem aktywny udział w Ruchu Oporu.

Ze względu na tematykę książki pytam autora „Dziwnej zabawy" o rodzaj pracy w Ruchu Oporu.

— Prowadziłem różne akcje. Nasz Ruch Oporu obfitował w liczne rozgrywki polityczne. Pracowałem w oddziałach o charakterze lewicowym, komunistycznym. Zorganizowałem wywiadowczy oddział wojskowy, który poniósł od Niemców ogromne straty. Z wielkiej grupy zostało nas trzech. Walka trwała aż do uwolnienia. Byłem wtedy pod Lyonem.

Z kolei przechodzimy do książki, do „Dziwnej zabawy".

— Jest to moja pierwsza książka. Zacząłem pisać w lipcu 1945 roku, kiedy nas trzech — jak panu wspomniałem — pozostało przy życiu. „Dziwna zabawa" to wskrzeszenie wspomnień. Wszystko jest bardzo autentyczne, wszystko przeżyłem sam. Naturalnie, trzeba uwzględnić transpozycję literacką.

— Mówiąc to, ma pan na myśli Marata?

— Oczywiście — Marat jest mi najbliższy, ale nie znaczy to, żebym go identyfikował ze sobą. Ma najwięcej ze mnie... tak można by to określić. Zresztą — wie pan dobrze, że nieraz na jedną postać składa się wiele postaci. Również strona topograficzna narracji jest prawdziwa. Nie zmyślam miejscowości i opowiadanie ma charakter dokumentu pewnej grupy Ruchu Oporu.

Następnie rozmowa toczy się wokół zagadnienia moralności i niemoralności „Dziwnej zabawy". Opowiadam Vaillandowi o bardzo sprzecznych sądach, jakie wywołała jego książka wśród czytelników polskich, stawiających ostre zarzuty postawie moralnej przedstawionych przez autora reprezentantów Ruchu Oporu. Vailland jest podniecony, zapala któregoś tam z rzędu papierosa, żywo gestykuluje.

— Właśnie piszę artykuł o mojej postawie moralnej. Jadę do Zakopanego i tam go skończę. Trzeba sprawę wyjaśnić. Przecież „Dziwna zabawa" to fragment, to cząsteczka obrazu Ruchu Oporu. Ruch Oporu to wielki obraz i obraz niejednolity. Można by o tym napisać wiele książek. Członkowie Ruchu Oporu znajdowali się i pracowali w różnych warunkach materialnych. Komuniści nie mieli pieniędzy, klepali biedę. Warunki, w jakich walczyli, mogły być tematem drugiej książki. Ja natomiast opisuję życie grupy bogatszej, zasobnej i dla niej mój opis jest prawdziwy.

— Jak krytyka francuska przyjęła pańską książkę?

— O „Dziwnej zabawie" pisano stosunkowo dużo i była ona przedmiotem ostrej dyskusji.

Rozmowa schodzi na szersze tory zagadnień literackich. Vailland skarży się, że nie ma zupełnie przekładów współczesnej literatury polskiej. Mówi o nowych kierunkach. Pada słowo „egzystencjalizm".

— Egzystencjalizm — mówi Vailland — nie jest prawdziwym kierunkiem literatury i sztuki francuskiej. To nie jest nawet szkoła. Niewielu z naszych pisarzy kroczy pod jego sztandarem. Ideologicznie — egzystencjalizm to charakterystyczny przykład rozkładu burżuazji francuskiej. Wszystko to jest rozgrywką polityczną. Np. Sartre po uwolnieniu próbował flirtować z komunistami, potem stanął przeciw nim. Teraz gdy walka stała się tak ostra, Sartre w trzech ostatnich numerach „Temps Moderne" atakuje zaciekle komunistów. Zresztą — trzeba przyznać — mimo małej oryginalności tematów Sartre'a i wałkowania zagadnień przedwojennych — on sam jest wielką klasą pisarską na złych drogach ideologicznych.



Roger Vailland

Nie można z autorem „Dziwnej zabawy" nie poruszyć sprawy nowych form pisarskich. Powieść jego ma jasne tendencje awangardowe.

— Poruszył pan sprawę wielkiej wagi — mówi Vailland — Stoimy w obliczu nowych czasów, w których nowe formy socjalne stworzą formy literatury.

— Czyżby pan myślał o przekształcaniu się form powieściowych?

— Nie jestem przekonany, aby do tego rodzaju literackiego należała przyszłość. Powieść jest bardzo względnie aktualna. To było dobre dla wieku dziewiętnastego. Pojawi się nowa forma, coś pośredniego pomiędzy powieścią a reportażem i to pod mocnym wpływem techniki kinematograficznej...

Na moment wracamy do tematu rozpoczynającego rozmowę. Pytam o obecne prace, zainteresowania literackie, udział w dziennikarstwie.

— Jestem współpracownikiem tygodnika „Action". A jeśli chodzi o prace literackie, skończyłem teraz nową powieść, która wyjdzie z końcem tego miesiąca. Tytuł jej „Fałszywy krok". Nie jest to powieść ideologiczna, lecz historia życia dwojga ludzi. Skusiła mnie także praca dla sceny. Przygotowuję sztukę; będzie grana w Paryżu... oczywiście, kiedy ją skończę!

Roger Vailland był członkiem delegacji francuskiej na kongres wrocławski.

— Kongres intelektualistów — mówi — da efekt chociażby przez wagę osób, które brały w nim udział i dały wyraz swemu stanowisku.

Czas kończyć. Mego rozmówcy prawie nie widać za zasłoną dymu. Zresztą przyszedł Hervé i czeka na Vaillanda...

— Ostatnie nieodwołalnie pytanie: Warszawa?

Roger Vailland uśmiecha się szczerze:

— Warszawa to jest p r a c a i p r a c a...

J. S.

IRENA SROWRONKÓWNA

Trzy lata książki dla dzieci i młodzieży

Systematycznie podawane przez Adama Bromberga dane statystyczne, dotyczące naszego rynku wydawniczego, są w obecnym okresie, jak słusznie mówi autor, jedyną busolą, wskazującą na rolę poszczególnych grup wydawców, i na ich tendencje rozwojowe. Sądzę, iż warto opublikować zebrane obserwacje dotyczące naszego rynku wydawniczego w zakresie książek dla dzieci i młodzieży. Materiałów dostarczyła mi bibliografia, opracowana przez Referat Literatury dla Dzieci i Młodzieży w Departamencie Twórczości Artystycznej Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Bibliografia na pewno ma jeszcze luki, prawdopodobnie jednak jest to materiał najbardziej dokładny, jaki w obecnych warunkach można było uzyskać. W bibliografii uwzględnione są wszystkie książki niezależnie od objętości i formatu, zarówno oryginały polskie jak tłumaczenia dla dzieci i młodzieży do lat piętnastu. Nie włączono tu książek „niezamierzonych“ dla młodzieży, tzn. takich, które pisane były dla dorosłych, a które młodzież chętnie czyta, jak Trylogia i „Krzyżacy“ Sienkiewicza, książki Londona, Curwooda, Fiedlera i i. Nie włączono również lektury szkolnej (nowele Sienkiewicza, Orzeszkowej, Konopnickiej i i.) z wyjątkiem tych wypadków, gdy sposób wydania, ilustracje, układ graficzny, nadawały książce charakter lektury rozrywkowej dla dzieci, a nie pomocy szkolnej (np. „Dziad i baba“ Kraszewskiego z ilustracjami Szancera).

Dane statystyczne, podane w tym artykule, obejmują lata 1945, 1946, 1947. Liczb dotyczących roku 1948 nie podaję. Sezon największego ruchu wydawniczego (okres gwiazdkowy), jest dopiero przed nami, do bibliografii produkcja ta wejdzie w pierwszych miesiącach 1949 roku, sądzę więc, że nie wcześniej jak w kwietniu przyszłego roku będzie można mówić o bieżącym roku wydawniczym. Podawanie danych fragmentarycznych w zestawieniu z „zamkniętymi“ latami 1945 — 47 mogłoby prowadzić do niesłusznych wniosków.

✤

W latach 1945 — 47 wydano ogółem 1096 książek dla dzieci i młodzieży. W podziale na lata wygląda to jak następuje:

	1945	1946	1947	Razem
książek	131	422	543	1096

Książki te wydało 131 wydawców.

Wśród tych 131 wydawców wyróżnić można 51, których działalność w zakresie wydawnictw dla dzieci i młodzieży ma charakter bardziej stały. Jako miernik przyjęłam wydanie w omawianym okresie przynajmniej 5 książek dla dzieci (maximum osiągnęła f-ma Biblos, wydając 121 książeczek z bajkami i powiastkami dla małych dzieci). Wśród tych 51 wydawców znajduje się 9 spółdzielni wydawniczych, jedna instytucja wydawnicza państwowa (PZWS) jedna organizacja społeczna (ZHP), 6 firm wydawniczych religijnych oraz 34 firmy prywatne, wśród których obok zasłużonych firm jak Gebethner i Wolff, Mortkowicz, „Książnica _ Atlas“ i i. sąsiadują producenci lichych broszur. Te firmy wydawnicze wydały łącznie 955 książek. Wśród pozostałych 141 książek mamy 23 wydane bez podania wydawcy i 118 książek wydanych przez 81 wydawców. Tak więc w tej ostatniej grupie na jednego wydawcę przypada na przestrzeni trzech lat niespełna 1 i pół książki.

Poniżej zamieszczona tabela podaje liczebność poszczególnych grup wydawców. Dla utrzymania jednolitości ogłaszanych materiałów zachowuję zasadę podziału przyjętą przez Bromberga.

		Ilość	% ogólnej liczby wyd
I.	Spółdzielnie wydawnicze	16	12.2%
II.	Instytucje państwowe	3	2.3%
III.	Organizacje społeczne, związki i stowarzyszenia	15	11.45%
III a	Stowarzyszenia i organizacje	11	8.4%
IV.	Firmy prywatne i anonimowe	86	65.65%
		131	100.00%

Grupy te zmieniają swą liczebność z miesiąca na miesiąc. Przewodnik Bibliograficzny w każdym nieledwie numerze podaje nazwy nowych wydawnictw, podczas gdy inne na dłuższy czas lub krótszy okres zawieszają swą działalność. Przy tym ustawicznym ruchu liczba wydawców w omawianym okresie stale wzrastała.

Ilość książek wydanych przez poszczególne grupy wydawców oraz procentowy ich udział w ogólnej produkcji książek dla dzieci i młodzieży unaocznia poniższa tabelka:

Rok	Spół wyd	%	Inst. państ	%	Org. społ.	%	Org. relig	%	Wyd. pryw.	%	Razem
1945	23	17,6	2	1,5	5	3,8	3	2,3	98	74,8	131
1946	88	20,9	13	3,1	13	3,1	12	2,8	296	70,1	422
1947	145	26,7	11	2	19	3,5	37	6,8	331	61	543
Razem	256	23,4	26	2,4	37	3,4	52	4,7	725	66,1	1096

Powojenna produkcja książek dla dzieci i młodzieży szybko osiągnęła pod względem ilości tytułów poziom produkcji z okresu przedwojennego, a nawet go przewyższyła. Nie mamy niestety, danych dotyczących lat następujących bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej. W latach 1932 — 1937, jak podaje Rocznik Literacki odpowiednie liczby roczne wyglądały następująco: 1932 — 330; 1933 — 210; 1934 — brak danych; 1935 — 321; 1936 — 236, 1937 — 221.

Powojenną produkcję wydawniczą dla dzieci i młodzieży rozpoczęły firmy prywatne. Ich udział w r. 1945 wynosi prawie 75 proc. ogólnej produkcji.

Ilość wydawców prywatnych wzrasta w ciągu trzech lat trzykrotnie, wzrasta również ilość wydawanych przez nich książek, zapewniając pod względem ilościowym pierwsze miejsce tej grupie wydawców przez cały czas omawianego trzylecia. Jednocześnie jednak procentowy udział wydawców prywatnych w ogólnej ilości wydawanych książek zwolna, lecz wyraźnie maleje. Dzieje się tak na skutek wzrostu działalności spółdzielni wydawniczych oraz — w znacznie mniejszym stopniu — stowarzyszeń religijnych.

Spośród spółdzielni cztery głównie rozwijają swą działalność: „Czytelnik“, „Książka“, „Wiedza“ i „Nasza Księgarnia“ (łącznie 178 książek w ciągu trzech lat). Szczególnie ta ostatnia, odezwawszy się dopiero w r. 1946, rzuciła od razu na rynek 17, a w r. 1947 — 44 książki, korzystając ze swych długoletnich doświadczeń i praw wydawniczych. Tak więc, aczkolwiek ilość spółdzielni w latach 1946 i 47 była taka sama, jesteśmy świadkami ich zdecydowanego i coraz silniejszego wpływu na rynek wydawniczy.

Podane liczby potwierdzają zjawisko omawiane już przez Bromberga („Kuźnica“ Nr. 28, r. 1948) w stosunku do całego rynku wydawniczego. I tam widzieliśmy zwiększające się uspołecznienie produkcji, z tą różnicą, że w zakresie innych działów wielką rolę odgrywają wydawnictwa państwowe, których udział w produkcji literatury pięknej dla dzieci i młodzieży jest nikły.

Są poza tym inne jeszcze różnice. Pisząc o stale zmniejszającym się odsetku wydawnictw firm prywatnych podkreślał Bromberg fakt (w pewien sposób niwelujący to zjawisko), mianowicie fakt wydawania przez firmy prywatne książek o znacznej objętości, dzięki czemu pod względem ogólnej objętości książek sektor prywatny zachowuje swe pierwszeństwo.

Inaczej jest w zakresie literatury dla dzieci. Maleńkie broszurki z bajeczkami i opowiadaniami dla małych dzieci (format 16°, str. 16) kilkunastostronicowe książeczki z obrazkami są produktem masowo wytwarzanym przez wydawców prywatnych. Istnieje wiele firm, których nieledwie cała działalność wydawnicza (a czasem naprawdę cała) ogranicza się do książek tego typu, że dla przykładu wymienię: „Biblos“, „Dzieło“, „Interprint“, „Kolumna“, „Książnica“, „Odrodzenie“, „Poligrafika“, „Wydawnictwo Książek Popularnych“. Niżej zamieszczona tabelka podaje ilość książek o najmniejszej objętości (broszurki i książki obrazkowe poniżej 32 stron) w poszczególnych grupach wydawców oraz procent tych książek w stosunku do całej produkcji danej grupy:

	I grupa	II grupa	III grupa	IIIa grupa	IV grupa	Razem
Ilość broszur	75	10	9	17	436	547
% w stos. do prod. danej grupy	25 4%	38,5%	24,3%	32,7%	60,1%	49,8%

Drugie zestawienie ilustruje procentowy udział każdej grupy wydawców w produkcji drobnych książeczek:

	I grupa	II grupa	III grupa	IIIa grupa	IV grupa	Razem
Ilość broszur	75	10	9	17	436	547
% w stos. do całej produkcji brosz.	13,7%	1,8%	1,6%	3,1%	79,8%	100%

Na 547 drobnych broszur i książeczek — 436, czyli 80 proc. wydają prywatni wydawcy. W skład ogólnej ilości wydawnictw tego typu wchodzą nieliczne broszury popularno - naukowe (ok. 10), „komedyjki“ i „sztuczki“ (29), reszta — to bajki, wiersze i opowiadania dla małych dzieci. Książka dla małych dzieci, łatwiejsza do wyprodukowania, jest przytem artykułem poszukiwanym i handlowo korzystnym. Jednocześnie jest to produkcja najmniej wartościowa. Jak obliczyła dr Arnoldowa („Ruch Pedagogiczny“ Nr. 4, 1947) na 260 książek dla młodszych dzieci tylko 60, czyli ok. 25 proc. uznać można było za dobre lub poprawne. Reszta — powtarzam za autorką artykułu — „grzeszy brakiem talentu, niedbałością formy i języka, pomysłami niedopuszczalnymi ze względów pedagogicznych“. Gdyby normy przyjęte przez nią zastosować do wydawnictw wyłącznie broszurowych, procent książek dopuszczalnych byłby zapewne jeszcze niższy.

Sprawa nie jest błaha, gdyż mała broszurka lub obrazkowa książeczka są najtańszymi wydawnictwami dla dzieci (cena broszurki 16-stronicowej ok. 20 zł., książek obrazkowych — od 30 zł). Te właśnie wydawnictwa docierają do szerokich mas dzieci, dzięki przystępnej cenie i kolportażowi (kupić je można w mydlarni, w sklepie z zabawkami, w sklepie galanteryjnym itd.). Nakład ich waha się zazwyczaj w granicach 5—10 tysięcy. Jeżeli przyjmiemy nawet minimalny nakład 5 tys., to ilość wydanych w ciągu trzylecia broszurek i książeczek osiągnęłaby imponującą liczbę ok. trzech milionów. Wydaje się, że jedną z najpilniejszych spraw w zakresie literatury dla dzieci jest podniesienie poziomu tego typu wydawnictw.

Książka mała objętościowo (pośrednio — książka dla młodszych dzieci) to tylko jeden z działów literatury dla dzieci i młodzieży. Poniżej zamieszczona tabela obrazuje produkcję wydawniczą w innych grupach książek:

		1945 ilość	1945 %	1946 ilość	1946 %	1947 ilość	1947 %	Razem ilość	Razem %
Książki dla młodszych dzieci		91	69,4	248	58,8	293	54	632	57,7
Książki dla starszych dzieci	Powieści	27	20,6	121	28,7	170	31,3	318	2,9
	Popul. nauk.	3	2,3	19	4,5	18	3,3	40	3,7
	Życiorysy	1	0,8	3	0,7	5	0,9	9	0,8
	Kalend., inform.	3	2,3	1	0,2	1	0,2	5	0,5
	Organiz. (harc., spółdz.)	2	1 5	6	1,4	15	2,7	23	2
	Teatral. i okol czn.	3	2,3	22	5,2	32	5 9	57	5,2
	Religijne	—	—	1	0,2	7	1,3	8	0,7
	Poezje	1	0,8	1	0,2	2	0,4	4	0,4
Razem		131	100,0	422	100,0	543	100,0	1096	100,0

Tabelę tę warto omówić dokładniej, opracowując działy bardziej szczegółowo. Być może stanie się to przedmiotem specjalnego artykułu, teraz ograniczę się do stwierdzenia najbardziej uderzających faktów. Przede wszystkim rzuca się w oczy duża ilość wydawnictw dla małych dzieci. Bajki, baśnie, wiersze i opowiadania, pomimo stałego obniżania się procentowego udziału tego typu wydawnictw w ogólnej ilości książek, wypełniają w roku 1947 — 53 proc. ogólnej produkcji.

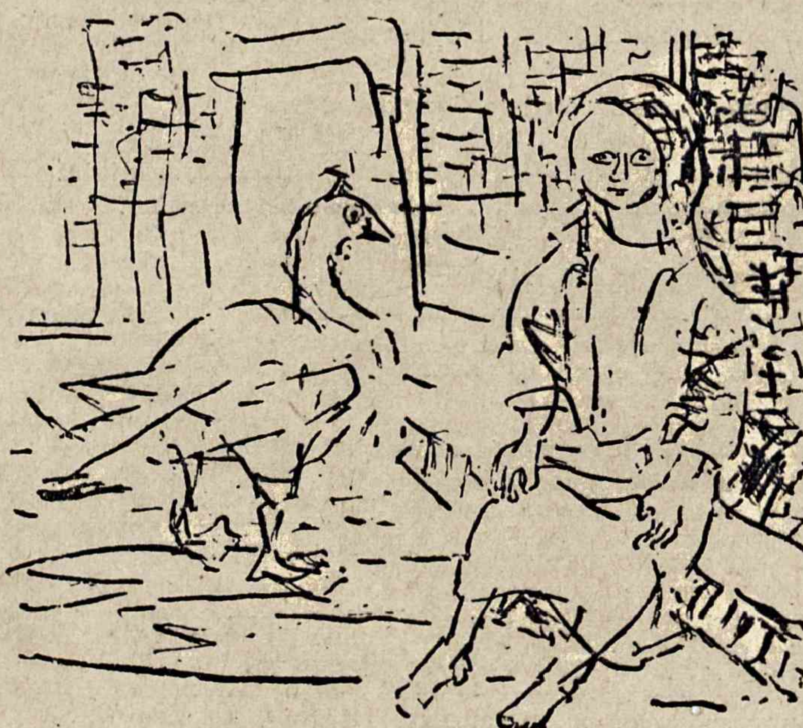
Zwraca uwagę mała ilość książek popularno-naukowych i życiorysów. Niezmiernie zaniedbaną dziedziną jest dział poezji dla starszych dzieci.

Wyłącznie liczbowe zestawienia nia dają należytego obrazu produkcji literackiej dla dzieci. Dopiero jakościowa analiza wykazuje, że rynek jest tylko pozornie nasycony, zwłaszcza w niektórych działach, np. o dziale sztuk teatralnych dla dzieci pisał w 1947 r. Zdzisław Kwieciński: „Repertuar teatru dziecięcego jest bogaty, bo zawiera 23 wydawnictwa, ale cóż z tego, gdy z czystym sumieniem można polecić nauczycielstwu tylko jedną sztukę“. („Powojenny repertuar dla teatrów“).

Po zapoznaniu się z treścią książek widzimy, że obok bezsprzecznie cennych pozycyj, znajdują się także książki poniżej właściwego poziomu. Ten stan rzeczy związany jest w znacznej mierze z dużą ilością wydawnictw biorących dorywczo udział w wydawaniu książek dla dzieci oraz brakiem odpowiedniego przygotowania do pracy u niektórych wydawców.

W interesie literatury dla dzieci i młodzieży byłoby pewne ustabilizowanie grupy wydawców posiadających odpowiednie kwalifikacje, którzy będą prowadzili w tej dziedzinie planową i odpowiedzialną pracę.

Irena Skowronkówna



Tadeusz Kulisiewicz — Marysia od Łukaszczyka

SZTUKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

O PROGRAMIE AUDYCJI POLSKIEGO RADIA DLA DZIECI

Redakcja Audycji Dziecięcych Polskiego Radia zwraca się do pisarzy, naukowców i wychowawców z prośbą o czynnną współpracę w trudnym zadaniu budowania dziecięcego programu radiowego.

Specyficzne wymagania radia (konieczność transponowania wartości treściowych i emocjonalnych utworu w dziedzinę słuchu) oraz charakter umysłowości słuchacza, nie powinny odstraszać mogących oddać dorobek swej wiedzy, czy talentu — dziecku. O nie bowiem chodzi: o dziecko, które jest ojczyzną jutra.

Odezwać się jednak mamy do dziecka niezwykłego, jest to bowiem dziecko naszych czasów. Dane mu było przeżyć i zachować w pamięci sprawy nie na dziecięcą miarę. Oglądało ono grozę upadku człowieczeństwa w czynach okupanta i niespotykane w dziejach bohaterstwo swoich. Zetknęło się i styka z demoralizacją wojenną i z powojenną, moralną, altruistyczną i godną postawą uspołecznionego człowieka.

Dziecko zna to najwyższe i to najniższe, na co stać człowieka.

Ostatnie lata sprawiły, że człowiek dopuścił dziecko do udziału w niepokojącej ludzkiej sprawie. „Res humana“ ukazała dziecku swe srogie oblicze, przyszedł czas, by „rzecz ludzka“ dopuściła dziecko do swych humanitarnych zdobyczy: nauki, sztuki i pieśni.

Nie możemy odezwać się do dziecka sztucznym tonem, przeznaczonym dla nieistniejących „milusińskich“. Pamiętać musimy, iż słucha nas dziecko chłopskie i robotnicze, któremu twarde życie dało trzeźwy sąd człowieka dorosłego. Dziecko czeka na prawdziwe i proste słowo uczonego, społecznika, wychowawcy i artysty.

Redakcja audycji dziecięcych posiada bardzo mało materiału o treści i formie godnej dziecka, wychowanego przez jego ojczyznę ludową. Za pośrednictwem kolumny „Odrodzenia“ zwraca się więc do wszystkich tych, którzy taki materiał posiadają, aby chcieli uprzystępnić go dziecku — za pomocą Polskiego Radia. Czekają na to dzieci robotnicze i chłopskie zgromadzone przy głośnikach radiowych w całej Polsce.

Ciągle jeszcze w pracy radiowej pozostaje wiele braków, którym staramy się zaradzić, radiofonizując dostępne dla dziecka fragmenty naszej i obcej literatury.

W naszej pracy będzie nam wielce pomocna rzeczowa krytyka, dotycząca programu, jak i jego wykonania, o którą prosimy, korzystając z gościnności kolumny „Sztuka dla dzieci i młodzieży“.

Redakcja Audycji Dziecięcych Polskiego Radia
H. Januszewska

TEATR CZY TEATRZYK

oraz inne łamigłówki z dziedziny teatru dla dzieci

Czytelniku, nie obawiaj się! Wstępu nie będzie. Nawet o tym, że teatr ma wychować nowego człowieka, ani o rzeczy równie oczywistej, że istnienie specjalnego teatru dla dzieci (na wysokim poziomie artystycznym) jest koniecznością...

Powtórzę Ci tylko pytania, jakie mi zadali ludzie, dla których sprawa teatru dla dzieci jest celem życia. Rozwiąż te łamigłówki, ręczę, iż nie pożałujesz czasu. A więc:

— Znasz zapewne przedwojenne teatry dla dzieci: „Redutę“ i „Jaskółkę“ i obecnie: „Teatr Dzieci Warszawy“, „Wesołą Gromadkę“ (Kraków), „Nasz Teatr“ (Lublin).

Czy to są teatry czy też teatrzyki?

Pomimo to, wśród najlepszych znawców sceny pokutuje dotychczas przekonanie, że lichy aktor, odrzucony przez sceny dla dorosłych, może śmiało pretendować do naczelnych ról w „teatrzyku“ dla dzieci...

— Czy może istnieć normalny, dramatyczny teatr, w którym gra aktor zawodowy: bez stałej sceny, bez widowni, bez garderób, magazynu, pracowni, przynajmniej stolarskiej i malarskiej.

A jednak wiele osób uważa, iż teatr dla dzieci może wieść tułaczy żywot, przenosić się z miasta do miasta i z sali do sali, zabierając potrzebne rekwizyty w podręcznym naseserze...

— Czy wystawiłbyś w teatrze dla dzieci sztuki: fantastyczne, ludowe, lub realistyczne, oparte na tle pełnego rozmachu współczesnego życia? Takie sztuki przykuwają wprawdzie uwagę dziecka, ale wymagają dużej obsady i ciągłych zmian sytuacyj. Więc może wybierzemy raczej sztuki kameralne np. typu „on, ona i kochanek“, albo też werbalne, oparte na monologach i dialogach, które są o wiele łatwiejsze do wystawienia?

— A teraz policz, bądź łaskaw, Czytelniku, ile osób występowało w sztukach: „Dr Dolittle i jego zwierzęta“, „Pinokio“, „Laleczka z saskiej porcelany“, „Niebieski ptak“ i i.

Czy przyznasz, iż zespół musi liczyć co najmniej dwadzieścia osób, nawet jeśli jeden aktor zdoła zagrać dwie lub więcej ról w jednym widowisku, przebierając się kilka razy w ciągu jednego wieczoru?

— Czy można dziecku pokazać sztukę w kilku aktach, na tle jednej i tej samej dekoracji, czy też dokoracje powinny być raczej zmieniane ze względu na ruchliwość wyobraźni dziecka?

Dziecko oczekuje z niepokojem na dalszy ciąg akcji, więc, czy przerwy pomiędzy aktami mogą być dłuższego niż dziesięć min.?

Tak zwane „duże teatry“ zatrudniają ponad dwadzieścia osób do przenoszenia i ustawiania dekoracyj, czy wobec tego pozwolisz teatrom dla dzieci zaangażować, no, powiedzmy — czterech maszynistów?

Czy liczba dziesięć — dla całego personelu technicznego wyda ci się zbyt wygórowana, jeśli zdradzę tajemnicę, iż w teatrach dla dorosłych wahą się ona od czterdziestu ośmiu do stu?

Pozwoliłeś już zapewne teatrom dla dzieci zatrudnić dwudziestu aktorów i dziesięciu techników. Nie mają one jednak wciąż jeszcze: ani orkiestry, ani chóru, ani administracji, ani kierownictwa, ani pedagoga.

Jaką zatem liczbę pracowników przyznasz teatrom dla dzieci. Czy pięćdziesiąt — to za dużo?

— Każdy teatr angażując personel musi podpisać konwencję ze związkami zawodowymi, które (na szczęście) określają wysokość gaż. Zajrzyj do takiej konwencji, o Czytelniku, i oblicz, ile złotych polskich trzeba miesięcznie wypłacać personelowi. A nie zapomnij do wydatków teatru dodać: komorne, tzw. świadczenia, Ubezpieczalnię, ZASP, ZAIKS itd.

Suma wypadła duża, prawda? A jakie są dochody teatru? Liczmy: bilet kosztuje — pięćdziesiąt złotych. Mało...

Więc może pozwoliłbyś na podniesienie cen biletów, przekreślając w ten sposób możność zrealizowania idei upowszechnienia teatru?

Na to jednak nigdy nie zgodzi się teatr dla dzieci. Więc może poradzisz mu, z czego ma pokrywać wszystkie wydatki. (Tylko nie kieruj do Ministerstwa Kultury i Sztuki, na pewno jest tam częstym gościem).

— Moi mili rozmówcy nie zdradzili mi tajemnicy, w jaki sposób istniały dotąd teatry dla dzieci, utrzymując uporczywie wysoki poziom artystyczny, pomimo niesprzyjających warunków.

Konia z rzędem — temu, kto rozwiąże tę łamigłówkę!

A właściwie i cóż komu teraz po koniu i to „z rzędem“. Wolelibyśmy już samochód, taką „demokratkę“.

Tomasz Stefański

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Dobre książki dla dzieci i młodzieży

M. Lovrak. Dzieci wielkiej wsi. Warszawa, „Czytelnik“, 1948; str. 104.

J. Ruszkowska. Chraboszczowe wakacje. Warszawa, „Czytelnik“, 1948; str. 64.

Irena Jurgielewiczowa. Historia o czterech pstroczkach. Ilustrował **S. Hiszpański.** Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. 169 i 3 nl.

St. Szuchowa. Staszek kupuje nowe buty. Warszawa, „Światowid“, 1948; str. 30 + 2 nl.

Eugeniusz Ryss. Lenka szuka ojca. Warszawa, „Książka“, 1948; str. 171 i 5 nl.

Hugh Lofting. Opera doktora Dolittle. Warszawa, „Książka“, 1948; str. 171 i 5 nl.

Hugh Lofting. Opera doktora Dolittle. Warszawa, „Książka“, 1948; str. 240 i 4 nl.

Alicja Dryszkiewicz. Wędrówki po zwierzyńcu. Ilustrował **Henryk Tomaszewski.** Warszawa, „Książka“, 1948; str. 24.

Janusz Korczak. Król Maciuś Pierwszy. Powieść. Warszawa, J. Mortkowicz, 1948; str. 320.

Maria Dąbrowska. Przyjaźń. Opowiadania. Wydanie ósme. Warszawa, J. Mortkowicz, 1948; str. 63 i 1 nl.

STOPNIE NIENAWIŚCI

(Dokończenie ze strony drugiej)

— A nie wierzył pan Niemcom, Henryk ciągnął dalej:

— Cóż, nie muszę cię zapewniać, że więcej już nie napisali. Wiesz co to była Treblinka. Dopiero pod koniec 1945 roku, przeczytałem w New-Yorskim „Aufbau" kilka z bardzo licznych nekrologów, z których trzy poświęcone były rodzinie Fritza, zlikwidowanej na wschodzie. Ale do tego jeszcze powrócę.

W sierpniu 1943 roku nadeszły wasze ostatnie listy: od twego ojca, ojca Tusi, od niej samej i od Adeli. Pisaliście wszyscy, że wyjeżdżacie. Pominę milczeniem to, co wtedy przeżywałem, bo i po co mówić? Oczy świata były niewidzące, a uszy jego głuche. Gdybym ci powiedział, kto tłumił mój głos i głos podobnych mnie — nie uwierzyłbyś.

Zebrałem wieczorem moją rodzinę, zapaliłem świece i odmówiłem modlitwę za umarłych. Wiodłem nieistotny spór z Bogiem i wymieniając imiona zamordowanych wymieniłem i swoje imię, co jak ci wiadomo jest zakazane przepisami rytuału. Wiesz, że nie wierzę w symbole, za stary jestem na to, ale są sytuacje, gdy symbole stają się kluczem do odmykania najstkrytszych pragnień i chęci. Czy ta moja symboliczna śmierć przywróciła mi spokój? Wydaje mi się, że tak.

Napisałem do was wszystkich na dawne adresy i listy wróciły. Dopiero w maju 1945, po wojnie już, otrzymałem twój list przesłany mi z Luxemburgu przez niejakiego M. Stąd wiedziałem, że żyjesz.

Z Szwajcarii pojechałem do Palestyny. Przyznasz, że nie bardzo miałem po co wracać do Polski. Mój majątek został rozgrabiony przez Niemców, a wasz model państwowy, cóż ci powiedzieć, może mi się podobać lub nie, ale jabym się w nim nie mieścił. To, o czym mówię, to jakieś czynniki irracjonalne. Muszę mieć większe możliwości ekspansji. Nie wiem, czy wiesz jak mnie określali przed wojną: mówiono, że prowadzę rozległe interesy, nie aby się bogacić — lecz, aby móc podróżować i mieć satysfakcję z największej ilości ceduł, frachtów, wagonów przetaczanych na moje bocznice kolejowe. Widzę, że się uśmiechasz sceptycznie, ale nie powinieneś się śmiać, ponieważ jesteś poetą: znam kupców, którzy są poetami swego zawodu, marzycielami swego powołania, reżyserami swego przedsiębiorstwa. Skoro mowa o sprawach z dziedziny sztuki, powiem ci, że się zaliczam do rzędu Wokulskich i czuję się niejako osobiście dotknięty, gdy wasi krytycy usiłują zdegradować tego człowieka do rzędu wyrobników, narastającego kiedyś, a minionego już dawno okresu rozwoju naszego kraju. Możliwe, że w mojej osobie zachował się szczątek ludzi tamtego czasu. I wiesz jeszcze co? Wtedy, gdy mi Fritz M., w swoim mieszkaniu, podczas tej pamiętnej rozmowy rzucił to słowo: Räubergeschichten, a ja czytałem tytuły książek nagromadzonych w jego bibliotece, pomyślałem, że powienienem cisnąć w niego tym czerwono-oprawnym tomem Heinego. Przecież Heine tak pasował do jego umysłowości, do jego rozumu i serca, jak „Mein Kampf" do ulubionego księgozbioru jakiegoś radykała, lub smakosza. Chyba, że radykał ów przechowywał wszystko, co reprezentuje wrogą myśl, ale to było zbyt płaskie. Gdyby Ernst B., i Fritz M., tak znali Niemców, jak ich znał Heine sto lat temu, nie operowaliby pojęciem „Ostjude" i nie wierzyliby Niemcom. Jeśli postępowali inaczej, to czemu to robili?

Przerwałem Henrykowi:

Wydaje mi się, że Heine w bibliotece Fritza M. był właśnie zmaterializowaną wrogą myślą, wrogą Fritzowi i Ernstowi i tym wszystkim, którzy w upadku Niemiec widzieli własny upadek. Heine podważał ich wiarę, musieli znać zamysły swego przeciwnika, zwłaszcza, że upadek ten był tak jaskrawy, odbył się przecież na oczach całego świata, a towarzyszyły mu tak straszliwe okoliczności, że zdawało się, że nikt już Niemców nie będzie bronić. Henryk się zamyślił, po chwili powiedział:

Powiedz mi, gdybyś mnie chciał określić, no powiedzmy umieścić w jakichś kategoriach społecznych, klasowych — do jakiej klasy zaliczyłbyś mnie na przykład.

Nie wiedziałem do czego zmierza i zapytałem:

— Teraz, czy przed wojną?

Henryk uśmiechnął się.

— Przed wojną to było łatwe, znacznie łatwiejsze niż teraz. Nie, mnie chodzi o moją obecną pozycję.

— No, teraz zaliczyłbym cię chyba do mieszczaństwa.

— Wiedziałem, że to tak określisz. Zaliczasz mnie zatem do kategorii ludzi ślepych.

— Jak to ślepych?

— Zaraz ci to wytłumaczę, chociaż wydaje mi się, że mam prawo wyłączyć się spośród tej kategorii ludzi, których podciągamy pod miano mieszczaństwa. Zagadnienie jest inne. Nie narodowościowe, nawet nie geograficzne, czy ja wiem może moralne, może polityczne — pomyślał chwilę — raczej moralne. Wspomniałem ci o tym new-yorskim tygodniku „Aufbau", znasz ten tygodnik?

Przytaknąłem mu milcząco.

Pamiętasz, że do kolegium redakcyjnego należą Albert Einstein, Tomasz Mann, Lion Feuchtwanger, bezprzecznie znakomitości, które odgrywały swego czasu kolosalną rolę w Niemczech — spostrzegł, że na dźwięk tego „kolosalną" uśmiechnąłem się — i teraz ją odgrywają tam gdzie przebywają. Redakcję tego „Aufbau" raczej firmują, rzadko zabierają głos. Pismo informuje o Ameryce, ale dla mnie jest ono w pewnej mierze miarodajne w sprawach niemieckich, mianowicie w tym zakresie, który dotyczy Żydów, emigrantów niemieckich, powiedzmy krótko mieszczaństwa żydowskiego i poniekąd nieżydowskiego, które opuściło Niemcy hitlerowskie i przebywa obecnie w Ameryce. Czytywałem je jeszcze w Szwajcarii, zanim wyjechałem do Palestyny. To był kwiecień 1945 roku, od tego bowiem czasu spośród 24 stron tego tygodnika osiem, a więc jedna trzecia poświęcona była nekrologom po Żydach niemieckich, holenderskich, francuskich, zamordowanych w czasie wojny. W żadnym nekrologu nie było miejsca zgonu, bo skądże miały rodziny w Ameryce wiedzieć, gdzie spalono lub zagazowano ich bliskich? Tam też ujrzałem któregoś dnia nekrolog po krewnych Fritza M., i Ernsta B. Napisałem jednemu i drugiemu list z kondolencjami. Ernst odpisał, Fritz M. przemilczał. Zresztą z listu Ernsta B. dowiedziałem się wszystkiego. Nikt z ich licznej rodziny nie pozostał przy życiu, zarówno ci spośród zamieszkałych w Niemczech jak i w Austrii, Czechach, Holandii. Ernst donosił, że dopytywali o swoich u dawnych sąsiadów, ale ci mogli jedynie podać daty wyjazdu na wschód. Do tej pory żaden z nich nie wrócił i ja wiem, że już nie wrócą. Teraz słuchaj uważnie: sądziłem, że każdy z tych nekrologów posłuży tym ludziom jako akt oskarżenia przeciwko Niemcom. Nekrologi się mnożyły, mogłeś wśród nich spotkać nazwiska znakomitości, nazwiska osób zasłużonych dla nauki, sztuki, przemysłu, nie tylko niemieckiego, nie tylko Europy, ale świata całego. Nekrologi następowały w takiej kolejności, że niektóre przytaczały w granicach jednej i tej samej ramki imiona dziadków, dzieci, wnuków, nawet prawnuków wysiedlonych razem jednego dnia — nach Osten. Przyznam ci się, że mnie ta lektura pasjonowała, czytałem te strony ozdobne w czarne ramki, jak wszystkie wiadomości, które zawierają jakieś dane o znajomych, spotykanych w różnych okresach mego życia. Były tam imiona skromne obok bardzo świetnych, obok rodzin z Hamburga, Düsseldorfu, Drezna, Lipska, nazwiska jakichś ludzi z małych mieścin, jakiegoś Schussenried, Achtstätten, Igling. Były nazwiska, obok których podawano dawne adresy z Unter. den Linden, Kurfürstendamu, z ścisłym uzupełnieniem numeru domu, nazwy firmy reprezentowanej lub prowadzonej przez zamordowanego, ale szybko przemogłem niesmak wywołany tym graficznym nagrobkiem, tak ścisłym, tak dokładnym, tak niemieckim. Odrzuciłem myśl, że w tej dokładności chodzi o uniknięcie pomyłki, możliwości pomylenia nazwiska i imienia tego zmarłego z imieniem i nazwiskiem podobnym, ale przynależnym do zupełnie innej rodziny, do innego człowieka. Myślałem, że w tej dokładności chodzi o ścisłe określenie, jak w akcie urzędowym, sądowym, że to właśnie ten zamordowany, ten, a nie żaden inny widokiem czarnych ramek domaga się sądu, wyroku, kary. Dopiero potem wracałem do tekstu redakcyjnego i muszę ci powiedzieć, że tu się rozbijały, moje bardzo uczuciowe, ale myślę, że również bardzo istotne przesłanki. Pomiędzy papierowym cmentarzem ostatnich stron, a żywą treścią pierwszych wyzierała przepaść, straszliwa przepaść, w której nie było — mimo wszystko, mimo dokładnych adresów, firm, nazwisk — miejsca dla pamięci po tamtych zamordowanych. Na pierwszych stronach i w tekście, tym poza — cmentarnym Żydzi niemieccy pisali o Niemczech — ale to nie byli Żydzi. To byli bogacze, którzy stracili swoich najbliższych na wschodzie, ale poza tym to byli ludzie, którzy zostawili w Niemczech majątki, fabryki, posiadłości. Co powinno było być według ciebie konsekwencją tego wszystkiego co się w Niemczech stało?

Pomyślałem chwilę, bo nie bardzo wiedziałem, o co chodzi Henrykowi.

— To jasne, ukaranie Niemców.

— Otóż to. Ale wtedy Fritze M. i Ernsty B. przypomnieli sobie, że od któregoś tam roku wpisywano na ich konta bankowe dokładne sumy dochodów, że zostały fabryki, do których trzeba wrócić, zakłady, które stanowią ich własność i oni pierwsi — możesz to sprawdzić — oni pierwsi podnieśli głos przeciwko polityce jednego z państw okupujących Niemcy, które pragnęło likwidacji wielkiej własności, przemysłu ciężkiego, by ich raz na zawsze pozbawić możliwości odwetu za poniesioną klęskę. Tak, ale wtedy musiałyby ulec nacjonalizacji również zakłady Fritzów M. i Ernstów B. Henryk przerwał na chwilę, odetchnął i widząc, że czekam, mówił dalej: Nie chcę być cynicznym twierdząc, że los naszych, los „Ostjuden" był im obojętny, ale wydaje mi się, że los ich zamordowanych niewiele ich obchodzi, skoro pomiędzy nekrologi o zmarłych, a żądaniem zwrotu fabryk, wsunęła się również fabryka hitlerowca, która jedną stroną sąsiadowała z nieznanym cmentarzem wybudowanym przez Niemców, a z drugiej strony z fabryką żydowskiego przemysłowca. Z pomocą przyszła im zresztą polityka departamentu stanu i przyklasnęli jej, lecz nie wiem, kto był inspiratorem tej polityki, prawdopodobnie nie człowiek, a interes. W tej chwili wpadło mi zresztą do głowy, że tacy Ernstowie gotowi są popierać wszelką akcję przeciwko ustalonym po wojnie granicom, byleby uzyskać utracone fabryki i zakłady, nawet gdyby Niemcy mieli na tym zyskać.

Zapytałem:

— Czy sądzisz, że dlatego Halina nie pisze do mnie?

— Nie, nie pomyślałem o tym. Mówiłem przed wyjazdem z jej mężem. Prosił, abym się dowiedział, jak wygląda sprawa młynów jego zmarłych wujów w Sz.

— No i co?

— Odmówiłem. Odmówiłem dlatego, że widzę waszą rację, powiedziałbym nie tylko waszą rację państwową, ale naszą rację, rację tych, którzy nie oglaszali nekrologów po zamordowanych. Ta racja przymierzona do skali Niemiec, położyłaby kres przyszłym rzeziom ludów.

— No, no, mówisz jak socjalista.

— Możesz to nazwać jak chcesz, ale moja opowieść nie na tym się kończy. Posłuchaj dalej. Podróżuję od miesięcy i staram się powiązać zerwane kontakty handlowe, wracam teraz z Anglii, z Liverpoolu, gdzie odwiedziłem wujostwo Ernsta B., tam właśnie zamieszkał jeden z braci K., byłych właścicieli majątków w Sz. Posiadają wielką stalownię i ubiegałem się o ich przedstawicielstwo na bliski wschód, które od chwili wybuchu wojny było nieobsadzone. Sprawa nie była prosta, bo pierwszeństwo posiadał ich dawniejszy przedstawiciel sprzed wojny, znana firma w Kairze. Zapowiedziany przez Ernsta. B., odwiedziłem ich w ich domu. Jest to stary gmach, w którym się zbiegały sprawy handlowe i bankowe Rotszyldów jeszcze w okresie wojen napoleońskich. Odwiedzali ich zresztą, zarówno ci wiedeńscy jak i paryscy, i pokazywali mi pamiątki po nich, zresztą bez chełpliwości. Było tam dużo pamiątek z początków 19 stulecia, ale na empirowym stoliku stał najnowszy telewizyjny odbiornik radiowy. Miałem zamieszkać u nich przez kilka dni i wobec pani domu wyraziłem swój podziw dla zachowanych pamiątek zdobiących dom. Powiedziałem, że nie zazdroszczę im ich pamiątek, już z tego względu, że są najściślej związane z historią ich domu, gdzie indziej świadczyłyby zapewne o snobizmie właścicieli. Natomiast pragnąłbym mieć taki odbiornik telewizyjny. Wstałem od stołu i przyjrzałem mu się z bliska. Nosił markę z napisem 1948, mimo że, jak ci wiadomo, mamy obecnie lato 1947. Zdziwiony zapytałem, co to znaczy. Wyjaśniła mi, że rok rocznie zmieniają marki radioodbiorników i samochodów i już na kilka miesięcy przed ich pojawieniem się na rynku, oni już nimi dysponują, ponieważ przedmioty te otrzymują bezpośrednio z fabryk, przed sprzedażą powszechną. Ten aparat, który mi się właśnie tak podoba, ukaże się na rynku w styczniu 1948 roku. Wyjaśnię ci, dlaczego przytaczam ten szczegół, zdaniem moim — ważny. Nie poczytuję tego za snobizm, jeśli ktoś wyprzedza innych w nabywaniu pewnych rzeczy. To świadczy raczej o możliwościach finansowych nabywcy.

O interesach mieliśmy mówić we wtorek, taki był zwyczaj u wujów Ernsta, tradycją domu, podobno szczęśliwy dzień. Jako gość zgodziłem się na przestrzeganie tego nieszkodliwego zresztą przesądu, ale potem się okazało, że zwłoka ta miała co innego na celu. Przyjechałem do nich w niedzielę i po prostu w ciągu dwóch dni pragnęli bliżej poznać człowieka, któremu mieli powierzyć swoje przedstawicielstwo. Nie wystarczyła im gwarancja bankowa, ona gwarantowała im jedynie wartość materialną towaru, lecz nie wartość moralną ich domu. Nie wiedzieli, że się zorientowałem w sytuacji, mogłem ją wykorzystać w tym celu, aby się postawić w świetle najlepszym, niedopuszczającym żadnych wątpliwości, tak zwanych, moralnych. Rozumiesz, że gdybym był przyjechał, powiedzmy, we wtorek, szczęśliwym dniem dla rozmów handlowych byłby nie wtorek, rzekomo tradycja domu, lecz piątek, uważany u nas na przykład za dzień feralny. Ale zostawmy to.

Wieczorem ciotka Ernsta zapaliła w pokoju, w którym mieliśmy spożyć kolację, świece i ustawiła je na stoliku nakrytym czarną jedwabną serwetką. Pani była osowiała, zapytałem więc wuja Ernsta, tak aby żona nie słyszała, na jaką intencję zapaliła świece. Odpowiedział mi szeptem, że dziś przypada domniemana rocznica śmierci ich krewnych. Podszedł do biurka i wyjął z niego plik „Aufbau". Otworzył jakiś egzemplarz i pokazywał mi nekrologi. Czytałem je ponownie z zainteresowaniem, mimo, że już je znałem. Jego żona podeszła do nas i spostrzegłszy co czytam, rzekła: straciliśmy wszystkich bliskich...

W czasie kolacji mówiło się o polityce, o minionej wojnie, a w związku z Ernstem padło nazwisko jego wuja z Sz., który w czasie wojny zmarł w ich domu. Czy znałem go? Tak, znałem z Berlina, potem z Sz., znałem jego zakłady i młyny.

— Aha — wtrącił wuj Ernst. Te młyny, to też ładna historia — ni stąd, ni zowąd — nacjonalizacja. Jak się to panu podoba?

Ponieważ nie odpowiedziałem od razu ciągnął dalej:

— No, młyny, mniejsza o młyny i fabryki mebli. Dostaniemy za to odszkodowanie, ale proszę pomyśleć, co Rosjanie chcą zrobić z naszymi fabrykami w Niemczech. Po prostu oddali je robotnikom, a my siedzimy na akcjach, które w tej chwili nie mają żadnej wartości. Czy pan też coś stracił w czasie tej wojny?

— Straciłem coś niecoś, ale ta strata jest mało ważna. Ważniejsze, że mi Niemcy wymordowali bardzo liczną rodzinę i najdalej idąca nacjonalizacja przemysłu niemieckiego nie wyrówna tych strat.

Puścił mimo uszu pierwszą część zdania, jakby ono zawierało coś nieistotnego i uczepił się zakończenia.

— Czy pan też jest zwolennikiem nacjonalizacji?

Patrzył uparcie w moje oczy.

Odparłem prosto: tak.

— A — namyślił się chwilę — dlacze właściwie?

— Bo jedynie ona może pozbawić tych, którzy nas mordowali, podstaw materialnych do szykowania przyszłych, prawdopodobnie jeszcze gorszych rzezi.

W odpowiedzi uśmiechnął się sarkastycznie, jego żona siedziała wyprostowana utkwiwszy wzrok gdzieś ponad moją głowę:

— To w takim razie chciałby pan, aby i moje fabryki pozostały w takim stanie, w jakim są obecnie, to znaczy znacjonalizowane? Nie miałby pan wtedy kogo reprezentować.

Jego żona ciągle patrzyła nie widząc mnie.

Odpowiedziałem:

— Najpewniej nie miałbym, ale byłaby gwarancja, że środki materialne uzyskane z pracy ludzkiej nie pójdą na armaty, kule, komory gazowe.

Zapytał:

— Czy pan wierzy w to, co pan mówi?

W odpowiedzi uniosłem numer „Aufbau", leżący na stole i spoglądając ku płonącym w rogu pokoju świecom podsunąłem go milczącej pani. Była to gazeta z nekrologami po ich zamordowanych.

Spojrzała na nekrologi z niesmakiem i rzekła:

— To pan jest gorszy od hitlerowców.

Ich dom opuściłem jeszcze tego wieczoru. Wiem, że moje zachowanie się odbiegało bardzo daleko od zwyczajów, panujących w tym domu, w którym bywali Rotszyldowie, ci z Wiednia i Paryża.

Nazajutrz zadepeszowałem do Ernsta B., że umowa z jego wujem nie dojdzie do skutku.

— A co Halina — o mało nie powiedziałem — a co moja Halina o tym myśli?

Henryk sięgnął po portfel, z którego był niedawno wyjął fotografię mego ojca, wyszukał jakiś list i podał mi go. Była to odpowiedź Ernsta na jego telegram. List był pisany po niemiecku, datowany z Tel-Avivu:

> Henryku, otrzymałem Twój telegram i list mojego wujostwa. Jestem oburzony. Obraziłeś moich krewnych tylko dlatego, że jesteś „Ostjude".
>
> Ernst

a poniżej drobnym pismem Haliny, po polsku:

> Kochany Henryku! Pozdrawiam Cię serdecznie, bardzo serdecznie.
>
> Halina

Stanisław Wygodzki

List do redakcji

O prawach krytyka

Dopiero po powrocie ze wsi przeczytałem artykuł p. Marii Rzeuskiej w 33 numerze „Odrodzenia" „Kronika dwu Piastów we współczesnej powieści" i dopiero teraz mogę zabrać głos w paru sprawach poruszonych przez autorkę. Oczywiście nie mam zamiaru wypowiadać swego zdania w sprawie oceny artystycznej moich książek. Sądzę, że krytyk ma pełne prawo do swego sądu i nie jest rzeczą autora kwestionować ten sąd (przynajmniej publicznie) a tym bardziej z sądem tym polemizować. Tak jest, jeśli krytyk nie przekracza swych uprawnień. Sądzę, że p. Maria Rzeuska uprawnienia te przekroczyła w dwóch punktach i właśnie w tych punktach uprawniła mię do poniższych wyjaśnień.

P. Rzeuska pisze: „Według zastanawiająco pieczołowitych datowań (Grabski, Bunsch i Gołubiew— przyp. mój) pisali swe utwory między rokiem 1940 — 1945. Zdumiewają zwłaszcza daty Gołubiewa: 1940 — 1944. Wolą więc uchodzić raczej za proroków niż za wyrazicieli obecnej sytuacji polityczno-historycznej. Prawem krytyka rezerwuję sobie nieco sceptycyzmu co do dat wcześniejszych..."

Wydaje mi się, że p. Rzeuska nie posiada tych praw, które sobie uzurpuje. Pomijam niedwuznaczne, a niesłychanie dziwne zdanie o tym, że wolę być raczej prorokiem niż wyrazicielem obecnej sytuacji itd. Zapytuję tylko p. Rzeuską, skąd ona wie o tym, co ja wolę? czy wyczytała to z mojej książki? czy może obciąża ostrość jej krytycznego wejrzenia jakiś wzgląd inny? Mniejsza z tym. Ze swojej strony pozwalam sobie wyjaśnić, że ja nic nie „wolałem", tylko napisałem uczciwie datę powstania powieści. A właściwie — muszę się teraz do tego przyznać — istotnie podfałszowałem ją lekko. A podfałszowałem ją o tyle, że zacząłem pracę nad „Bolesławem Chrobrym" w r. 1938 — i mam na to dowody. Wiosną 1939 powieść już była na tyle posunięta, że wydrukowałem w „Kurierze Wileńskim" (bodaj że w numerze wielkanocnym) fragment z części pierwszej (opis puszczy). Nieco później czytano w ramach audycji literackich w Polskim Radio rozdział z piątej części pierwszego tomu pt. „Grobla" (o przeprawie Bolesława przez Noteć i bitwie w lasach pomorskich w czasie wypraw na Jomsborg). Fragment ten — o ile pamiętam — zakwalifikował do mikrofonu p. Zbigniew Kopalko pracujący obecnie w rozgłośni łódzkiej; czytał go p. Piotrowicz. Znaczna część pierwszego tomu powstała jeszcze przed wojną.

Dlaczego więc przesunąłem datę rozpoczęcia pisania na rok 1940? Dlatego — tu zapewne zadziwię niejednego krytyka — że początkowym moim zamiarem było pisanie powieści językiem całkiem niearchaizowanym; osobiście bowiem niezbyt lubiłem archaizację. Ale kiedy po roku sięgnąłem do rękopisu, doszedłem do wniosku, że pierwotne założenie było fałszywe; że język w powieści jest elementem zbyt istotnym, by złudę perspektywy historycznej dało się wystarczająco plastycznie osiągnąć bez archaizacji. Nie wchodzę w to, czy zmiana decyzji była słuszna, czy nie. Ale była. W roku 1940 rozpocząłem pisanie od nowa. Pisałem jednak zgrubsza wedle pierwotnego tekstu i oba opublikowane jeszcze przed wojną fragmenty znajdują się w książce. W końcu roku 1941 przepisałem rękopis na maszynie i egzemplarz ten po wojnie oddałem „Czytelnikowi"; znalazły się w nim tylko nieduże poprawki stylistyczne. Wobec tego trudno jest bardzo mówić o tym czym „wolę" być; wiem tylko, czym jestem. A jak to ktoś zechce nazwać, to już jest jego sprawa.

P. Rzeuska zarzuciła mi świadome kłamstwo (bo cóż innego mogą znaczyć jej słowa?). Na jakiej podstawie to zrobiła? czy jest to prawo krytyka? A sprawa nie jest wcale tak błaha. Dam na to przykład. Przed rokiem byłem w Świnoujściu i w Szczecinie z autorskimi wieczorami w ramach akcji „Autorzy wśród swych czytelników". Słuchało mię łącznie chyba z półtora tysiąca osób. Opowiadałem im m. i., jak pisałem swą powieść właśnie w latach 1940 — 1941. Nie miałem wtedy możności uzupełnienia mych studiów. W tym kwestionowanym roku 1941 — właśnie „czasu zwycięstw niemieckich", jak barwnie pisze o tym p. Rzeuska — w budce stróża nocnego pisałem o zdobyciu Jomsborga. Nie mogąc zdobyć potrzebnych mi opisów geograficznych długo wpatrywałem się w mapę i wczytywałem się w skąpe źródła historyczne, by „odtworzyć" wygląd, koloryt, zasadniczy ton krajobrazu. Po latach zaś płynąc statkiem po „Odrze", wędrując nad brzegiem morza, patrząc na powolny bieg rzeki, skonstatowałem, że „odtworzyłem dobrze". Czyż jest niezrozumiałe wzruszenie pisarza, gdy stanął na obmywanej płasko plaży, gdy deptał tę ziemię, tak w owym roku daleką i jakby nierzeczywistą, gdy to wszystko, co wtedy usiłował dojrzeć — właśnie „czasu zwycięstw niemieckich" — teraz było dotykalne i widzialne? Gdy na tym samym miejscu miał swój wieczór autorski? Czyż dziwne jest że tym wzruszeniem podzieliłem się ze słuchaczami? (p. Rzeuska zarzuciłaby mi zapewne, że zrobiłem to „nastrojowo"; być może). A teraz ci sami słuchacze dowiadują się ze szpalt „Odrodzenia", że z tą datą... kto wie, jak tam było; że pisarz woli udawać proroka niż istotnie deptać stopą polskie wybrzeże pod Szczecinem; że jego prawdomówność stoi pod znakiem zapytania. Raz jeszcze pytam: jakim prawem się to robi? A nadto: cui bono?

Muszę jeszcze bardziej zadziwić p. Rzeuską, co do owego „prorokowania". Oto w czasie wojny — co prawda już czasu klęsk niemieckich — napisałem znaczną część trzeciego tomu, w którym obszernie poruszam stosunki polsko - czeskie. Niechże sobie p. Rzeuska „rezerwuje prawo krytyka" i na przyszłość, bo się to jak najbardziej jej przyda. Co prawda tych fragmentów nie ogłaszałem, z wyjątkiem jednego: w „Odrze" w 1946 r. Ale wiele osób czytało w rękopisie moje proroctwa; mogą zaświadczyć.

Druga sprawa jest krótsza. Oto p. Rzeuska powiada o mojej książce, że „wielu mówi o niej z patosem i uznaniem przy bliższym badaniu okazuje się jednak, że wiedzą o niej z tytułu lub na podstawie opinii cudzych. Gdy pytałam, dlaczego tak wartościowej książki nie przeczytali, padała odpowiedź, że owszem, rozpoczęli, ale nie dali rady skończyć. Ale — pisze dalej p. Rzeuska — są tacy, przyznajmy, którzy czytali i również się zachwycają..." A w innym miejscu: „Nic dziwnego, że mało kto potrafi dobrnąć do końca". I jeszcze gdzie indziej: „Rozwlekła opisowość i duże rozmiary zmniejszają czytelność autora". Doprawdy, z zastanawiającą pieczołowitością usiłuje krytyk podkreślić, jak niemal nikt nie jest w stanie mojej książki przeczytać.

Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczam raz jeszcze, że nie chcę wtrącać się do oceny wartości książki. Chcę mówić tylko o tym, czy książka jest czytana, czy nie, chcę mówić o obiektywnych faktach, wydaje mi się, że w tym punkcie również przekracza p. Rzeuska prawa krytyka. Bo fakty przeczą jej twierdzeniom. Dziesięciotysięczny nakład powieści został sprzedany w niespełna rok, mimo dość wysokiej ceny (1560 zł), wydawca zaś zdecydował się na druk drugiego wydania (7.000). Co więcej: jak wynika ze sprawozdań „Czytelnika" większość nabywców kupowała osobno tom pierwszy, osobno zaś drugi, a więc czytelnicy na wydanie 900 zł. za „Szło Nowe" decydowali się już po przeczytaniu „Puszczy". Informowano mię w wielu czytelniach, że abonenci czekają na „Bolesława Chrobrego" nieraz po parę miesięcy, nawet jeśli czytelnia posiada kilka egzemplarzy. Koledzy-pisarze, przeprowadzający niedawno akcję badania czytelnictwa na wsi opowiadali mi o żywym a samorzutnym odzewie wsi na moją książkę; Tadeusz Breza w „Dzienniku Literackim" opisał nawet rozmowę na ten temat z wiejskimi czytelnikami; m. i. czytelnicy ci zaprzeczali, jakoby język czy styl był dla nich niedostępny lub utrudniał czytanie. Mógłbym przytoczyć wiele innych dowodów na to, że jestem potrzebny czytelnikowi z różnych warstw społecznych, różnego poziomu wykształcenia, różnych poglądów ideowych. Jednakże wyliczanie takie jest zbyt żenujące i przykre, zbyt wygląda na chwalenie własnego dzieła, bym miał je ciągnąć zbyt długo. Po prostu fakt zaspakajania potrzeb czytelnika, fakt właśnie czytelności, który jest największą radością dla pisarza i największym bodźcem do dalszej pracy, jest dla mnie zbyt ważny bym pzowolił go bez wystarczającego uzasadnienia kwestionować. A mam do tego prawo, gdyż ocena tego faktu należy w równej mierze do autora, jak i do krytyka, jak zresztą do każdego, kto zechce bliżej go zbadać.

Tak jest dzisiaj. A jutro? P. Rzeuska pisze: „Zdarzało się na przestrzeni historii literatury, że utwory od razu głośne zamierały po przejściu próby czasu i schodziły na dalszy plan. Obawiam się, że czeka to Gołubiewa". Być może, że tak będzie. Nie wiem. Oboje z p. Rzeuską jesteśmy na tyle młodzi, że może jeszcze będzie to nam dane zobaczyć. Ja wolę nie udawać proroka. Wiem dobrze jak często na przestrzeni literatury zdarzało się, że zarówno entuzjazm autora, jak i sceptycyzm krytyka okazywały się zawodne. Rozstrzygnięcie tej przepowiedni bezpieczniej jest — dla nas obojga — zostawić cierpliwemu czasowi.

To jest właściwie wszystko, co mam do powiedzenia w związku z artykułem p. Rzeuskiej. Obie omówione przeze mnie sprawy dotyczą faktów, nie oceny. W obu też p. Rzeuska wyrządziła mi krzywdę. Ale może nie tylko mnie? Bo tego rodzaju twierdzenia, które mogą być bez trudu obalone, podrywają zaufanie czytelnika w ogóle do krytyki i do jej sądów — po prostu do jej obiektywizmu.

Te moje wyjaśnienia wypadły dość obszernie. Lecz ośmieliło mię do pisania przekonanie, że cała ta sprawa posiada pewien sens bardziej ogólny. Chodzi właśnie o prawa krytyka, Są one rozległe, ale mają też swoje granice. O jednej z tych granic chcę powiedzieć: moim zdaniem krytyk nie ma prawa insynuować autorowi takich czy innych zamiarów czy intencyj. Nie ma prawa pisać, czego autor „chciał" i co „woli". Bo o tym nie wie. Ma książkę, i pisze o książce. Jeśli przekracza tę granicę, czyni to bezprawnie. A uwaga ta dotyczy nie tylko mojej osoby — i jeśli moja sprawa przyczyni się do uświadomienia tych granic, może nie będzie szkoda łamów „Odrodzenia" nawet na tak obszerną wypowiedź — ostatecznie o charakterze dość osobistym.

Antoni Gołubiew

JERZY PUTRAMENT

Lato w Giżycku (3)

BIEDNE KROKODYLE



Latarnia nie morska i Lewentyn

Ilości kaczek tutaj są niebywałe. Chwilami jeziora przypominają mi staw pod nieświeskim zamkiem, gdzie nie wolno było na nie polować. Tu polować wolno, są tacy, którzy z tego żyją. Są również traperzy sezonowi, którzy przyjeżdżają tu na lato i kaczkami, sprzedawanymi do restauracyj, opędzają niewysokie na ogół koszty utrzymania.

Inżynier R. jest prawdziwym traperem, osiadłym tu na stałe. Z licznie rozsianych w okolicy trupów samochodowych zmontował sobie półciężarówkę, którą rozjeżdża po borach, ścigając przede wszystkim dziki. Tego tałałajstwa jest tu pełno. Ubiegłej zimy inżynier upolował okrągły tuzin. Kto nie wierzy, niech się do niego zaprosi na szynkę z dzika.

Las mazurski oczywiście to nie tylko zwierzyna. Zioła lecznicze, których zbiór został już od dwóch lat zorganizowany, stanowią cenną pozycję naszego eksportu. Ale zarówno handlowo jak i turystycznie ciekawsze są grzyby. Wyrosłem w rodzinie, w której scena grzybobrania z „Pana Tadeusza" nie miała w sobie nic z zabytkowości, czy egzotyki. Grzybobranie było czymś w rodzaju rodzinnego sportu z własnym rytuałem i rekordami. Nie bez wzruszenia wkroczyłem więc do mazurskiego lasu wciśniętego między dwie odnogi Mamr.

Pierwszy jednak okaz znaleziony niewiele miał wspólnego z tradycyjnymi gatunkami grzybów. Był to mianowicie pięknie zachowany pocisk kalibru 75 mm. Na przestrzeni paru kilometrów poszukiwań „grzybonośnych" terenów, napotkaliśmy parę dziwnych polan, których środek stanowił kilkumetrowej głębokości dół otoczony świeżą porębą. Drzewa były już popiłowane, ułożone w sągi i ten gospodarny pejzaż nie pozwalał od razu zrozumieć, skąd się te polany wzięły.

Tylko porozrzucane na skrajach polan kawałki blachy i odłamki drewnianych skrzynek rozwiązywały zagadkę. Po prostu lokowały się tutaj składy amunicji, z których już Niemcy nie zdążyli skorzystać i albo sami wysadzili w powietrze, albo pozostawili tę niemiłą robótkę polskim saperom. Głębokość dołów świadczyła o stosunkowej zasobności tych artyleryjskich spichlerzy. Las w promieniu kilkudziesięciu i więcej metrów dookoła padał pokotem. Miło jest stwierdzić, że nie zgnił, że został jakoś wykorzystany.

Mówiło się i pisało wiele o „Prusach Wschodnich, bastionie militaryzmu niemieckiego". Jak bardzo ścisłe było to określenie, świadczą nie tylko rozległe i nowoczesne dzielnice wojskowe Giżycka, ale i przede wszystkim lasy pruskie. Każdy dosłownie pagórek dokoła Giżycka krył na swoim zadrzewionym szczycie jakiś fort, forcik, forteczkę. Misterne zasieki kolczaste, rowy strzeleckie i łącznikowe pełnego profilu, w środku żelazo-betonowe bunkry — to nieodłączny rekwizyt bliskich okolic Giżycka. Ilość pocisków artyleryjskich z łuskami i bez, z zapalnikami i bez, każe wzdrygać się na myśl, ile jeszcze pokoleń młodocianych pastuchów znajdzie sobie wśród tych idyllicznych gaików i pagóreczków tani i błyskawiczny środek komunikacji na tamten świat.

Co się tutaj działo w pierwszych latach powojennych, można sobie wyobrazić przeglądając lokalne cmentarze, gdzie w wysokiej procentowo kategorii „śmierci tragicznych" jakąś jedną trzecią zapewne stanowiły ofiary min. Wysiłek sapera był tu kolosalny. Ten może powiedzieć o sobie, że wojna dla niego nie skończyła się ni w 1945, ni w 1946 roku.

Dalej od miasta zwłaszcza w zerowych, z punktu widzenia wojskowego jak ówże półwysep, terenach min rzekomo nie ma. Z grzybami też nie od razu idzie łatwo. Sezon tegoroczny nie należy do normalnych. Niebywale dżdżysty początek lipca rozbił zwykłą kolejność urodzaju grzybowego. Przypadkowe „świętojańskie" borowiki przedłużyły się aż do połowy lipca, podczas kiedy cały szereg mniej szlachetnych gatunków jeszcze się nie pokazał.

Długo błądzimy w olbrzymim wysokopiennym lesie, złożonym z wiekowych sosen, z rozrzuconych garściami wysokich dębów, osin, brzóz, z gaików gęsto ściśniętych świerków, z pojedynczych okazów klonów, wiązów, jarzębiny, jesionów i nawet lip. Wszystko to jest gęsto podszyte maliną. Rzadkie polanki zarosła wysoka paproć.

W takim lesie trudno znaleźć porządnego borowika. Niebawem towarzystwo specjalizuje się. Panie przechodzą na zbieranie spóźnionych poziomek, panowie wybierają się powęszyć za dzikiem, ja osobiście z pełną świadomością życiowej degradacji, który daje ten proceder, uporczywie wyłuskuję kurki, rozrzucone garściami w kępkach mchu.

Dopiero po jakiejś godzinie wyprawa na dziki wraca, przynosząc w czapkach kilka borowików. Ruszamy na nowy teren i wśród niewysokich, może trzydziestoletnich, rzędami zasianych sosenek, rzucamy się do najszczytniejszej konkurencji grzybobrania.

Przyzwyczajonemu do lasów nadniemeńskich, gdzie te same sosenki rosły jak tłum na wielkim placu, to zwierając się, to rozchodząc, trudno uwierzyć, że w tych po wojskowemu karnych szeregach młodego sośniaku, szlachetnej rasie borowików zechce się przychodzić na świat. Fakty jednak, jak rzekł ktoś wybitny, to rzecz uparta. Z lewa i z prawa słyszę już tryumfalne okrzyki szczęśliwszych ode mnie rywali. Garbię się, zgięty na pół, przedzieram się przez pajęczynę i spróchniałe dolne gałęzie, podpędzany tym samym niepokojem i zmartwieniem, który futbolistom każe uganiać się po boisku, bokserom wytrzymywać serie ciosów w plexus solaris, pływakom przeć naprzód przez basen, zachłystując się mdłym i słodkawym smakiem własnego zmęczenia. Skłonność do wiary w przesądy, jak wszystkim sportowcom, nieobca jest również grzybobiorcom. Wydaje mi się, że po dziewięciu latach przerwy straciłem węch, zapomniałem borowiczego kształtu i przechodzę mimo.

Jaką pociechą w tej depresji jest widok pierwszego, którego ciemno-czekoladowa czapeczka błyska właśnie na pograniczu rudziejącej kępki mchu i spłowiało-brązowego osypiska sosnowych igieł.

Pierwsza runda nie przynosi rozstrzygnięcia. Rozpala tylko ambicję. Drugi i trzeci raz rzucamy się w zagajnik, rozdarci między passeistyczny popęd, aby się trzymać bliżej tego szczęśliwszego, a zupełnie awangardową ochotą odwrócenia ustalonej już gradacji lepszych i gorszych terenów, i podążenia gdzieś daleko na prawo czy na lewo, w niezbadane jeszcze zakątki.

Przypadkowa to była wyprawa, nie klasyczna, nie ranna. Zmierzch już dorasta w zaroślach przekwitłego łubinu, który nie wiadomo dlaczego rozplenił się między sosenkami. Ostatnie zdobycze przypadają już na ciemność, przyspieszoną chmurami, które dojrzały w popołudniowej spiekocie i teraz ruszają do szturmu.

*

Ilość ryb również budzi zdumienie. Spółdzielnia rybacka zbijałaby tu miliony, gdyby propaganda spożycia ryb odniosła w tym kraju sznycli wieprzowych jakiś skutek i gdyby jakość konserw była trochę lepsza. Tutejsze sielawy, większe od trockich, w smaku mogą konkurować z najlepszymi pstrągami Zachodu. Wędzone są nieporównane. Niestety, zdaje się, źle znoszą transport.

Ale królem jezior mazurskich jest szczupak. Inżynier R. obiecuje mi pokazać prawdziwe rybołówstwo, w swojej najbardziej sportowej odmianie: na błyszczkę. Ze trzy tygodnie czekam daremnie. Któregoś pogodnego popołudnia ruszamy wreszcie jego motorówką.

Rybaków jest dwóch: inżynier i doktór z Gdyni, który specjalnie na te łowy tu przyjechał. Pani Z., która im towarzyszy jak i ja, w ważnej na morzu roli balastu, ogląda błyszczkę, wygiętą, jak łyżka, z czterema hakami, jak u kotwicy.

— Czy to humanitarne? — platonicznie zapytuje — Biedne rybki, to takie ostre...

— Pani zobaczy te rybki! — doktór wydyma pogardliwie wargi. — To są drapieżcy. Taki połów, to jak byśmy gestapowca chwytali.

— Nie wiadomo jeszcze czy zobaczymy. — Inżynier chmurnie ogląda dziewiczo błękitne niebo — Zły dzień na połów. O, przed burzą!...

Mamry rzeczywiście są idealnie spokojne, słońce praży. Jestem przygnębiony. W całym życiu raz tylko, przed ćwierć wiekiem, schwytałem na wędkę jedną jakąś, bardzo kolczastą rybkę, długości małego palca. Sądzę nawet, że i innym przynoszę pecha.

Doktór ciągnie za motorówką swoją błyszczkę, która jednak pewnie jest mało apetyczna. Inżynier powtarza swój sąd pesymistyczny: taka pogoda nastraja szczupaki marzycielsko. Zresztą, przedwczoraj było parno, najadły się na tydzień naprzód.

— Pod tamtą górkę — radzi doktór. Daremnie jej szukam na brzegu, który jest całkiem płaski. Górka jednak się znajduje wreszcie, pod nami. Dno tu jest wyższe, słońce je przygrzewa, trochę wodorostów i dużo rybiego drobiazgu, który traktuje tę „górkę" jako połączenie plaży z jadłodajnią.

— Jest! — woła nagle doktór. Kręci szybko bębenek.

— Okoń — krzywi się inżynier — Zbyt ciekawy. Zaczepił się skrzelami o hak, nie chciał brać, chciał tylko się przyjrzeć. Mówiłem, zła pogoda, nie biorą.

Odczepia dwudziestocentymetrową rybę, rzuca w jezioro. Stajemy na „kotwicy" — kamieniu, owiniętym sznurem. Gest inżyniera wydaje mi się bluźnierczym marnotrawstwem: taką rybę! Co dziwnego, jeśli teraz nic się nie trafi. Pani Z. jest za to szczęśliwa. Biedna rybka!

Doktór i inżynier ciskają swoje błyszczki o trzydzieści metrów od łodzi i pracowicie zwijają sznur — Ryba! — krzyczę, gdy coś srebrnego błyska tuż pod łódką. Jest to tylko błyszczka, której kształt i ruchy obliczone są właśnie na wywołanie takich złudzeń. Gdybym był szczupakiem, było by już po mnie, ku radości krajowych okcydentalistów.

Długi kwadrans mija na tym pluskaniu i kręceniu. Rybitwy, które tu żerowały przed nami, odleciały na sąsiednią górkę, nie bez płaczliwych protestów. Słońce dotarło do lasu. Spóźniony motyl wysila się, by przed zmierzchem przelecieć ten swój Atlantyk.

— Jest — mówi doktór znowu. Jest tym razem poważny i ostrożny. Kręci powoli.

— Duży! — inżynier stwierdza to po nieznanych normalnemu człowiekowi objawach.

— Chyba nie — skromnie zaprzecza doktór. — Jakoś za łatwo idzie.

Wpatrujemy się w zieloną wodę. Wędka pionowo napięta. Musiałby być gdzieś pod nami. Nic nie widać, tylko doktór z nabożeństwem raz i drugi zwija bębenek, to go znowu popuszcza.

— Trzeba go zmęczyć — tłumaczy.

Coś szarozielonego w zielonej czerni jeziornej. Przywidziało mi się chyba? Nie rybie to kształty, zwłaszcza rozmiary — Jest! — mówi inżynier z nutką niepokoju — Sznur wytrzyma? Musi mieć z dziesięć kilo.

Szczupak wolno się winduje do góry. Łysnął czarny grzbiet, koła wodne pobiegły i stadko rybek prysnęło na wszystkie strony.

— Nic nie rozumiem — powtarza doktór — Czemu on taki spokojny?

— Może chory? — rzuca pani Z. — Przeziębiony?

— On też nie rozumie — stwierdza inżynier — Hak zaczepił go bokiem. Nie chciał brać, ale za blisko błyszczka przebiegła, kątem pyska ją musnął, ze względów pedagogicznych. Niby nie chodź po wsi... Niech go pan ostrożnie, pod burtę...

— Hak jest?

— Zapomniałem. Trudno, trzeba go za oczy.

Szczupak jest przy łodzi. Odmierzcie sobie na ręce, od końca palców do obojczyka. Jeśli macie rękę normalnie długą, a wzrostu metr osiemdziesiąt, długość tego okaza będzie się zgadzała. Patrzy na nas spode łba, ale jest ciągle spokojny. Doktór wyraźnie się peszy:

— Będę trzymał wędkę, może pan... Nie rozumiem, czemu się nie rzuca?

Inżynier nachyla się przy burcie. Wolno wyciąga rękę z rozczapierzonymi palcami, zbliża do szczupaczego pyska. Zdaje się że już go ma, ale tamten ciągle jeszcze ani drgnie. Jeszcze pięć sekund. Nagły plusk, inżynier cofa rękę. Szczupak wydarł sobie jeszcze z metr życia.

Doktór znowu wolno holuje go na powierzchnię. Znów ręka nad pyskiem. Palce przywierają do oczu, pręży się dłoń, ogon targa, ale już w powietrzu. Pani Z. łapie oddech, odskakuje na dziób łodzi.

Cóż to za ryba? To płaz, potwór, zwierzę. Olbrzymi pysk, płaski i czarny, rozchyla się właśnie, jak dziób ogromnego buciora, któremu opada zelówka i jak gwoździe sterczą zęby, tylko nie jak drewniane, ostre jak szpilki, rzadkim półkolem obramujące szczękę. Tułów jest gruby, ogon zwęża się nagle i ryba wydaje się przez to krótsza.

— Dziesięć kilo! — potwierdza inżynier. Ciska ją pod ławkę, do przegródki z wodą — Łapaliśmy już dwunastokilowe.

Pani Z. wraca z dziobu i ostrożnie zagląda. Potwór jest nieruchawy. Jego obojętność uspokaja ją również.

Inżynier jeszcze raz wraca do swojej pierwotnej tezy o niekorzystności aury dla połowu:

— Pewnie drzemał sobie i jeszcze się nie ocknął. A nie mówiłem, że dziś nic nie wyjdzie.

Ładne mi nic, o wadze dziesięciu kilo.

Słońce teraz ledwo zezuje zza dalekiego lasu. Jezioro jest jakby wyprasowane. Trzy kilometry na prawo ktoś woła na brzegu. Słyszymy go wyraźnie, jakby dysponował gigantofonem.

— No, teraz o zachodzie — mówi doktór — może się coś złapie. Niech pan popatrzy: drobiazg się pożywia.

Istotnie „górka" jest upstrzona mikroskopijnymi kółeczkami. Jedno, dwa, pięć, naraz wyskakują, rozbiegają się, krzyżują. Stadko muszek jakiś podmuch zagnał aż tutaj. Dłużej lecieć nie potrafią, stają się łupem drobiazgu.

Inżynier nie mówi: — jest! Kręci tylko bębenek, na pytanie macha wzgardliwie ręką: — okoń.

Doktór kręci także, jest bardziej uroczysty, czujemy, że i tym razem będzie jakaś sensacja. Pani Z. wpatruje się w ciemniejące jezioro, pewnie aby ocenić, czy nie pora zająć dogodniejszą pozycję na dziobie łodzi.

— Chodź tu, pokaż się... — doktór namawia poufale swego szczupaka. — Niech pani zobaczy, jakiś ty piękny. — Szczupak jest mniejszy od pierwszego, komercyjny, trzy kilo — ocenia inżynier i towarzystwo traci połowę zainteresowania. Doktór podkręca jeszcze trochę bębenek. „Komercyjny" nie jest jednak rozespany. Już przy burcie łodzi na powierzchni dokonuje dwóch gwałtownych zwrotów — i znika. Doktór z pewnym zażenowaniem robi wykład o wadliwym rozkładzie haków w błyszczce.

W międzyczasie inżynier zdołał wywindować trzy półkilowe okonie. Przez pięć minut wydarzenia się zagęszczają. Bodaj czy nie następny rzut przynosi doktorowi nowego szczupaka równie „komercyjnego", który mimo oporu znika w przegródce.

— Czy ten wielki jego nie zje — niepokoi się pani Z. słysząc tam lekką ruchawkę.

— Nie sądzę — mówi inżynier — W tym stanie powinny przeważać w nich nastroje metafizyczne. To zaś nie sprzyja apetytowi.

Jeszcze dwa okonie, czerwonawe i zielonkawe i znowu doktór z przydechem zwierza się: — jest! Druga walka, popuszczanie i podciąganie, aż wreszcie gładka szyba jeziorna pęka od czarnego grzbietu i znowu inżynier garbiąc się przy burcie zaciska mu na oczach kościste palce. Plusk i walka. Ten się nie poddaje tak łatwo, nie jest rozespany. Trzeba precyzji i siły, aby uchwytu nie popuścić, w porę targnąć, wyrwać z wody nagle ociężałe cielsko, utrzymać je, zwijające się w powietrzu, nie pozwolić się wyśliznąć. Dopiero gdy pokrywa przegródki opada na swoje miejsce i wewnątrz słyszymy już nie ruchawkę a kotłowanie, doktór, który dotąd dosyć platonicznie trzymał oburącz krótkawe wędzisko, pozwala sobie na otarcie potu z czoła i prosi o papierosa.

Dalszy kwadrans jest bezskuteczny. Już tylko malinowe półkole nad borem, woda ściemniała, rybitwy poszły spać. Wracamy.

Ciemna i gładka powierzchnia jeziora za nami staje się systemem geometrycznie dokładnych, trójkątnych fal koloru amarantowego. Czasem w kolorowych filmach widuje się także igraszki, w których intensywny kolor i rytmiczne powtarzanie się pewnych prostych elementów geometrycznych potrafią na jakiś czas nadrobić brak pasjonującej fabuły, stromobiustnych gwiazd i „happy endu". Te ciepłe kolory jednakże nie mogą uchronić przed ziąbem, rozdmuchanym śpieszącą łodzią i wieczorem.

Inżynier z trudem wyciąga dwa dziesięciokilowe olbrzymy.

— Tak — mówi — ale gdyby przed burzą, toby pan zobaczył. W zeszłym tygodniu przez trzy dni złapaliśmy blisko trzysta kilo.

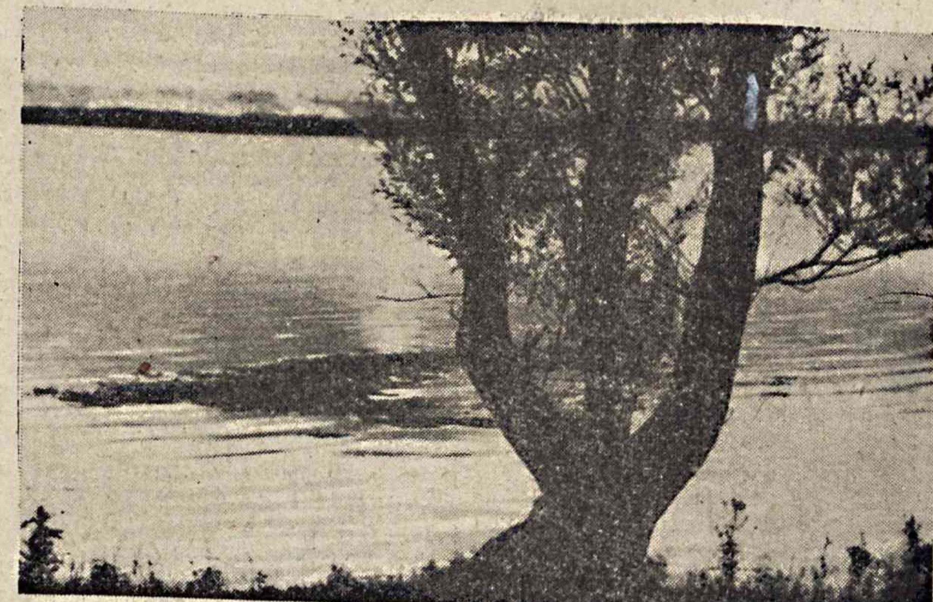
— Biedne... — zaczyna pani Z., urywa, widząc otwarty zębaty pysk i kończy trochę inaczej: — krokodyle.

Jerzy Putrament



..Łapaliśmy już i dwudziestokilowe..

..Olbrzymi pysk, płaski i czarny rozchyla się właśnie..



fot. W. Puchalski

..Słońce teraz ledwie zezuje zza dalekiego lasu..

Na trasie W-Z



Trasa W-Z, wyrastająca jakby pod działaniem różdżki czarodziejskiej, budzi stałe zainteresowanie przyjezdnych i licznych warszawiaków, spieszących oglądać postępy w budowie tunelu i trasy. Podajemy akwarelę malarza Karola Albertiego z końca XVIII-go wieku, reprodukowaną przez Aleksandra Kraushara w Widokach Warszawy, a przedstawiającą klasztor Panien Bernardynek od strony Wisły. Klasztor, w którym mieściło się pierwsze Konserwatorium Warszawskie, został zburzony w 1843 r. pod budowę wiaduktu Pancera.

sts

P R O Ś B A

do posiadaczy autografów Słowackiego

Zakład Narodowy imienia Ossolińskich we Wrocławiu przystępuje do pełnego, 16-tomowego wydania „Dzieł Wszystkich" Juliusza Słowackiego pod redakcją prof. Juliusza Kleinera, tj. do reedycji tomów wydanych przed wojną i do opracowania nowych. W związku z tym zwraca się do wszystkich posiadaczy autografów Poety z prośbą o łaskawe porozumienie się z Wydawnictwem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, plac Solny 13.

Faramuszki kanadyjskie

Ottawa w sierpniu 1948 roku

W Verdun, w prowincji Quebec, w Kanadzie, „pachnącej żywicą" p. Pierre Gatineau, szef miejscowej policji nakazał ostro, aby kobiety biorące udział w walkach zapaśniczych odziane były w długie i luźne suknie, skrywające dokładnie ich obfite kształty. W mieście Hiroszima, którego położenia geograficznego nie trzeba bliżej określać, gdyż miejsce jego jest już mocno w historii ugruntowane dzięki bombie atomowej, szef miejscowej policji zmusił wszystkich swoich podwładnych do nauki tańców amerykańskich — twierdząc, że bez tego ich wychowanie demokratyczne będzie niekompletne. Lekcje boogie-woogie odbywają się w komisariacie policji, a niechętne tej nauce policjantki i policjanci zwalniani są z pracy jako podejrzani o reakcyjne przekonania. W miasteczku Aylmer, w Kanadzie, po długich i uporczywych walkach udało się miejscowym wywrotowcom wywalczyć zniesienie zakazu noszenia krótkich spodni („szortów") w czasie uprawiania gier sportowych. Miejscowy wywrotowiec, prezes Klubu Przemysłowców, p. Jack Couture, o którym wypadnie nam jeszcze mówić, argumentował w ten sposób: „Od nas tylko zależy, żeby godnie przyjąć naszych (amerykańskich — uwaga K. K.) letnich gości, nie osiągniemy tego jednak, pakując ich do kryminału w upalny dzień za to tylko, że chcieli się trochę ochłodzić i złamali w ten sposób archaiczny regulamin".

W tych trzech wypadkach walki policji ze zdrowym rozsądkiem wynik jest dwa do jednego. W dwu wypadkach wygrali Amerykanie: w japońskiej Hiroszimie, w której demokracja to boogie-woogie i w kanadyjskim mieście Aylmer, w którym postęp do dolary. Te trzysta milionów dolarów rocznie, które turyści zostawiają w Kanadzie. Nie należy drażnić Amerykanów w Japonii, trzeba zgrabnie tańczyć boogie-woogie. Nie należy zniechęcać amerykańskich turystów, każąc im w parne upalne lato kanadyjskie grać w tenisa w długich portkach. Toć są głupie żarty, jeśli ktoś twierdzi, że dolar nie niesie postępu. Rozumie to dobrze p. Jack Couture, businessman i liberał. Rozumie on także, że nie tylko dolary przynoszą dochód: praca urzędnika czy robotnika też przyczynia się do wzrostu kont bankowych jego przyjaciół. Toteż „pławienie czarownic", czyli badanie lojalności pracowników państwowych, które za wzorem Ameryki rozpoczęło się w Kanadzie, nie znajduje jego uznania. W liście do „Citizena" z dnia 5 lipca br. p. Couture skarży się, że członkowie (fikcyjnego zresztą — uwaga K. K.) Towarzystwa Dozorców Krów masowo opuszczają szeregi organizacji, której cele są natury zgoła niewinnej. P. Couture przytacza kilka listów, które otrzymał od członków Towarzystwa. Oto jeden z nich: „Rząd zmusza nas do wyznania, do jakich organizacyj należymy. Nie mogę już dla kraju pracować, bo cały mój czas pochłonięty jest dawaniem odpowiedzi na liczne kwestionariusze. Mój szef ma zamiar prześcignąć Gallupa (głośny instytut amerykański, trudniący się sondowaniem opinii publicznej w różnych sprawach — uwaga K. K.). Straciłem już ochotę należenia do jakichkolwiek organizacyj. Nasza przyjaźń była miła, muszę jednak myśleć o mojej posadzie". Jest jasne, że p. Couture nie lęka się o losy towarzystw typu Klub Zielonej Pchły czy Entuzjaści Łupieżu. Tego typu towarzystwa mają szanse przetrzymać czas burzy i naporu. Ale właściciele towarzystw okrętowych, kopalni i kolei mogą nie wytrzymać. Protesty związków zawodowych i masowe strajki to przecież druga strona medalu, to reszka, która może być górą. Tysiące panów Couture zdaje sobie z tego sprawę. I dlatego amerykańska czystka na kanadyjskim terenie nie przechodzi bez zgrzytów.

Nie bez zgrzytów też odbywa się próba obniżki zarobków kanadyjskich robotników przy pomocy importowania lumpenproletariatu z międzynarodowego targu niewolników, czyli z niemieckich obozów dla DP-sów. Przywieziono już tych „dipisów" kilkadziesiąt tysięcy. Pracują w lasach, u farmerów, przy budowie fabryk. Pracują — czasami — dwadzieścia jeden godzin na dobę, rekord chyba dotychczas nie pobity.

Praktyki, stosowane wobec „dipisów" przynoszą wprawdzie doraźne zyski poszczególnym przedsiębiorcom kanadyjskim, wywołują jednak równocześnie nienawiść i wzburzenie miejscowych robotników, zagrożonych utratą pracy, powodują bójki z przybyszami i... oskarżenia o komunizm. Raz po raz pojawiają się w prasie głosy, biorące w obronę „dipisów" przed zarzutami komunizmu. Pisze się, że są to przecież ludzie, którzy nie chcieli wracać za „żelazną kurtynę", że stracili oni tyle na skutek zmian zaszłych w ich krajach macierzystych, że „byłoby nonsensem posądzać ich o sympatie do systemu, który jest sprawcą ich obecnego losu". A jednak... jednak istnieje widocznie przyczyna, dla której trzeba to tłumaczyć. Nieludzka praca i okazywana przez pracodawców pogarda robią swoje, otwierają oczy najbardziej nawet zaślepionym. „Dipisi", którzy przeszli za czasów niemieckich praktyczną lekcję nauki o podziale ludzkości na naród panów i narody niewolnicze spostrzegli w Kanadzie, że... nic w naturze nie ginie.

Nic — nawet śmiech i zdziwienie Europejczyków, którym trudno uwierzyć, że kraj, którego roczny eksport idzie w miliardy dolarów, którego handel światowy zajmuje trzecie miejsce po Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii — nie ma ani jednego teatru. Stolica pięknej i fantastycznie bogatej Kanady, Ottawa, jest pod tym względem w położeniu gorszym niż Toruń czy Olsztyn. Ale śmiech i zdziwienie nie giną w naturze. Ojcowie Ottawy rozpoczęli niedawno kampanię, mającą uczynić z Ottawy miasto, którego nie trzeba będzie się wstydzić wobec przybyszów z Europy i wobec wyspiarzy, którzy tu masowo zjadą na wypadek III wojny. Grają tu rolę zarówno ambicje zabezpieczenia parze królewskiej spokojnego miejsca pobytu na ten okres jak i chęć wzmocnienia wpływów angielskich w tym brytyjskim Dominium, w którym Anglicy — dzięki polityce Bevina — znajdą może kiedyś przytułek i pracę w rządzonych przez Amerykanów fabrykach i kopalniach. Przy pomocy zmiany prawa o obywatelstwie brytyjskim, forsując ustawę, która zrównuje dominia z Old England w odniesieniu do Korony, Bevin usiłuje zahamować proces, który swoją polityką sam przyśpiesza. Dzięki nowej ustawie o obywatelstwie dominia będą miały prawo domagać się, żeby para królewska co roku spędzała pewien czas na kanadyjskim terytorium. Z prawa tego chce skorzystać i Kanada, dlatego też jej stolica musi się na tę ewentualność odpowiednio przygotować. Pomyślano też o budowie pałacu na rezydencję dla angielskiej pary królewskiej. Zbudować pałac to jednak za mało. Król i królowa mają gdzieś wyjść czasami, pokazać się. Trzeba też stworzyć jakąś namiastkę kulturalnych rozrywek dla członków dworu, towarzyszących królowi. W tej atmosferze sprzyjającej kulturalnym poczynaniom powstał pierwszy teatr zawodowy w Ottawie. A powstał, jak powiadają, w sposób następujący.

Aktor angielski Hugh Parker, który spędził w Kanadzie dwa lata, wrócił po wojnie do Ottawy z zamiarem założenia teatru. O wydostanie pieniędzy na ten cel od ojców miasta czy od rządu nie było mowy. Parker kupił za sześć dolarów sto pocztowych znaczków jednocentowych i wysłał sto listów do najznakomitszych obywateli miasta proponując im wykupienie abonamentu na sześć przedstawień w sezonie. Abonament miał kosztować sześć dolarów. W odpowiedzi na sto listów przyszedł... jeden czek na sześć dolarów. Parker kupił za sześć dolarów dalsze sześćset znaczków pocztowych i wysłał sześćset podobnych listów... i tak aż do skutku, aż do zebrania odpowiednich funduszów na pensje dla kilku aktorów, wynajęcie sali i koszty wystawy. W dniu premiery na sali było dwadzieścia jeden osób. Anglicy są uparci a Hugh Parker jest prawdziwym Anglikiem. Wystawia już drugą z kolei sztukę na poziomie amatorskiego teatru w Kaliszu, łatwiej jednak dostać od kogoś dolara niż ściągnąć nabywcę biletu na widownię. Od kiedy sam gubernator Aleksander zaszczycił raz swoją obecnością teatr w Ottawie, wielu miejscowych obywateli poczuwa się do obowiązku popierania imprezy artystycznej p. Parkera. Dają więc dolary, żeby jednak mieli chodzić do teatru, tego przecież od nich wymagać nie należy.

W tym nie ma nic śmiesznego. Wyprzedając Imperium Brytyjskie Amerykanom Bevin i Cripps czynią równocześnie rozpaczliwe gesty ratowania resztek wspaniałej ongiś fortuny. A więc oprócz pomysłów podróżniczych w odniesieniu do pary królewskiej planuje się w Kanadzie budowę filii przedsiębiorstw angielskich. Rząd Kanady gotów jest poprzeć tę akcję godząc się, żeby zamiast spłacać pożyczkę, zaciągniętą w 1942 roku, Anglia inwestowała uzyskane z eksportu dolary w przemysł kanadyjski. Nie tylko więc Churchill, Bevin, król i arystokracja ale i przemysł angielski myśli o przenosinach do Kanady. Są to sprawy, dużo poważniejsze od budowy teatru w Ottawie — choć ze sobą powiązane. Gesty te jednak nie zmienią kanadyjskiej i angielskiej rzeczywistości. Im częściej król Jerzy będzie jeździł do Ottawy, tym bliższy będzie dzień, w którym — podobnie jak Unia Południowo-Afrykańska — Kanada wymknie się całkowicie spod brytyjskiej kontroli. W amerykańskich bankach nie siedzą naiwniacy. Bevin, przeznaczając Wyspy Brytyjskie na wielki lotniskowiec dla Amerykanów nie uratuje za tę cenę wpływów angielskich w Kanadzie.

„Współpraca angielsko-amerykańska — mówił mi w barze na „Batorym" zalany już trochę Anglik — polega na ścisłej wzajemności, tzn. że my im oddajemy Wyspy, a oni nam zato zabierają Kanadę".

Kajetan Kotowicz

Książki

PAMIĘTNIKI

„STARE I NOWE"

Lucjana Rudnickiego

Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1948, str. 216.

Sąd konkursowy „Odrodzenia" zaliczył Lucjana Rudnickiego, autora pamiętników „Stare i nowe", do czołówki prozaików na rok 1948. Jego pamiętnik, istotnie, wyróżnia się barwnością i celowością formy narracyjnej. Trzeba pamiętać, iż Lucjan Rudnicki jest samoukiem. Nim zaczął pisać, pasał ojcowską krowę w Sulejowie. Terminował u stolarza. Dopiero w Łodzi, pracując w Widzewskiej Manufakturze wśród towarzyszy - robotników, powoli wciągnął się w czytanie i stał się tym, kim jest dzisiaj — pisarzem. Takie broszury, jak „Ojciec Szymon", „Czy teraz nie ma pańszczyzny", „Manifest komunistyczny" wyprowadziły go z atmosfery małomiasteczkowej na szeroki świat idei socjalistycznej. Wspomnienia z Łodzi są najmocniejszą partią jego książki. Lucjan Rudnicki na stronicach tych utrwalił jak żył wtedy robotnik, w jakich warunkach pracował, jak musiał walczyć, by zdobyć ośmiogodzinny dzień pracy, ubezpieczenie społeczne i poszanowanie swoich ludzkich praw.

Galeria znajomych i przyjaciół z tych czasów zasługuje na baczną uwagę. Ileż tu talentów nie mogących się przejawiać w pełni wskutek braku najprymitywniejszych warunków bytowania! Każdego czytelnika musi zastanowić postać Leopolda Szuberta, obecnie kapelmistrza, „widzewskiego Leonarda da Vinci!" Obyczajowa strona życia robotniczego należy również do dokumentów, które powinny zainteresować. Obyczaje bowiem są sprawą, zdawałoby się przez wszystkich znaną. Gdy jednak chodzi o prawdę — pomija się rzeczywistość na rzecz jakiegoś uproszczenia. Zdumiewający pęd do oświaty nie był tylko właściwością psychiczną Lucjana Rudnickiego. Gdy mieszkał u wujostwa, czytanie należało do normalnych potrzeb całej rodziny. A później na każdej nowej kwaterze (60 kopiejek miesięcznie za prawo rozłożenia siennika na podłodze i przespanie) napotyka wciąż na ludzi rozmiłowanych w lekturze. Więzienia — to też były uniwersytety dla Rudnickiego! Uczył się w zamknięciu od więziennych kolegów.

Przypomina on: „Na ówczesną dwustutysięczną Łódź była tylko jedna, na pół zakonspirowana czytelnia o charakterze oświatowym. Założyło ją w r. 1899 dwoje młodych idealistów, małżonkowie Bronisław i Katarzyna Rogowscy". Rudnicki czytelni tej zawdzięcza, iż mocno „stanął na ziemi". Dotychczas bowiem plątały się mu po głowie sulejowskie kazania, wpływy babki Okrasińskiej, nawyki myślowe środowiska małomiasteczkowego. Rudnicki zapisał na wieczną rzeczy pamiątkę: „Cholewiński, Łęcki, Grzelak, Możdżeński... oto bohaterscy chorążowie zastępu rewolucjonistów, dzielnicy widzewskiej w Łodzi przed pięćdziesięcioma latami. Z takimi towarzyszami można się było rzucić nawet w piekło". (str. 169).

Szczególnie Możdżeński silnie oddziałał na mentalność autora pamiętników. „Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego przypominają nam rzeczywistość polską na przestrzeni pięćdziesięciolecia od strony dotychczas mało uwzględnianej. Któż bowiem przeważnie pisywał pamiętniki? Robili to ludzie innych klas społecznych. Pamiętniki robotników i chłopów były wyjątkami.

„Stare i nowe" są takim wyjątkiem, godnym poznania przez bardziej ciekawą treść i żywą, płynną, barwną formę.

Eustachy Czekalski

■

Wrześniowy (9) zeszyt „Twórczości", który ukazał się już w sprzedaży, otwiera artykuł Kazimierza Wyki, poświęcony zagadnieniom stosunków inlektualistów do problemu przyszłości kultury, zagrożonej przez widmo trzeciej wojny.

W tym samym zeszycie znajdą czytelnicy świetne opowiadanie Vercorsa pt. „Oręż nocy". Jest to u nas beletrystyczny debiut tego popularnego już we Francji i za granicą pisarza.

Drugą interesującą pozycją są pełne finezji „poematy prozą" Maxa Jacoba, poprzedzone ciekawym wstępem i przetłumaczone przez Julię Hartwig.

Dalej zamieszcza „Twórczość" wspomnienie o laureacie pokojowej nagrody Nobla Carlu Ossietzkym, zmarłym w obozie hitlerowskim. Pisze o nim Edward Kantorowicz.

Dział poezji reprezentuje: Garcia Lorca i Tiutczew.

K. W. Zawodziński poświęca liryce rosyjskiej dłuższą rozprawę pt. „Poezja ludzka i wspaniała".

Kazimierz Koźniewski analizuje osiągnięcia literatury sztuki i nauki na Ziemiach Odzyskanych w artykule pt. „Kultura Ziem Odzyskanych".

Dalszą interesującą pozycją numeru jest wnikliwy artykuł o przekładzie i inscenizacji „Owczego Źródła" pióra Tadeusza Peipera.

Bogaty numer „Twórczości" zamyka artykuł Mieczysława Porębskiego o współczesnej grafice czeskiej.

Notatnik muzyczny

Muzyka wrocławska

Intelektualiści są fatalną publicznością koncertową, gdy ich zgromadzi inna przyczyna niż muzyka. Pomijam już fakt, że wielu z nich sądziło, iż „Cathedrale Engloutie" Debussyego, to etiuda Chopina co, jako skalę pomyłki przyrównaćby można do pomylenia Kochanowskiego z Gałczyńskim. Pocóż ten snobizm u ludzi nie byle jakiej miary, to udawanie, że się na wszystkim znają?

Było mi tak wstyd, że już począłem przyznawać rację pomniektórym członkom tego wysokiego areopagu i godziłem się na to, że pianista czeski Józef Palenicek odegrał etiudę Chopina. Cóż, kongres to nie koncert. Poza tym, odegrana na wstępie, pod sztandarami czterdziestu narodów Apassionata Beethovena, walczyła namiętnie z ogólnym gwarem i podnieceniem tej pokojowej wieży Babel.

Muzycy nie zawiedli: Austrię reprezentował tam Hans Eisler, kompozytor i były profesor Uniwersytetu w Kalifornii, Brazylię Claudio Santoro, kompozytor, i Ana Stella Schic, pianistka. Bułgarię Christo Brambarow, artysta opery i Ljubomir Pipkow, kompozytor. Czechosłowację Emil Burian, reżyser i muzyk oraz Józef Palenicek, pianista. Holandię Eberhard Rebling, muzykolog. Jugosławię Oscar Danon, dyrektor opery belgradzkiej. Polskę Ewa Bandrowska-Turska, Grzegorz Fitelberg i Andrzej Panufnik, których specjalności nie podaję, czytelnicy „Odrodzenia" zbyt dobrze ich znają. Portugalię Fernando Lopez Graca, kompozytor. Rumunię C. Bugeanu, kompozytor i dyrygent. Węgry Pal Kadosa, kompozytor i Ferenc Szabo, również kompozytor i profesor konserwatorium w Budapeszcie. Wielką Brytanię Rutland Boughton, kompozytor, J. Russel, dyrektor Filharmonii londyńskiej i B. Stevens, kompozytor. Włochy Goffredo Petrassi i Gastone Rossi-Doria, muzykolog. Związek Radziecki Tichon Chrennikow, kompozytor i sekretarz Generalny Związku Kompozytorów ZSRR.

Obrady kongresu, wypełniające bez reszty dni wrocławskie, nie pozwoliły na osobne zebranie muzyków — w innych gałęziach nauki czy sztuki zebrań takich również nie urządzano. Ważniejsze były obrady ogólne, niż wyłanianie poszczególnych grup zawodowych. Mimo to, na postawie osobistych kontaktów odniosłem wrażenie, że artyści wszędzie ubiegają się o jasne sformułowanie społecznych i wychowawczo-ideowych zadań sztuki oraz nie uchylają się od stanowczego precyzowania swego politycznego oblicza. Jest to bodajże najciekawsza cecha atmosferycznych ciśnień tego zjazdu, który pod wspólnym dachem zgromadził tyle wspaniałych nazwisk. Nauka i sztuka wyszła z izolowanych korkiem pracowni i zamkniętych kapliczek. Deptała bruk porytego pociskami Wrocławia. Pokazała, że oddycha, jak oddycha cały świat.

Poezja — czysta poezja, czymże może być innym, niż wspólnym oddechem ze światem, z którym musi żyć, kochać i cierpieć, — i muzyka od tego się nie uchyla. Już nie sposób wyobrazić sobie dziś rewolucjonistę Beethovena, który w cesarskim Wiedniu poświęcał swe dzieła arcyksięciu Rudolfowi. Skończyły się te romantyczne niekonsekwecje!

Apassionata, którą niedźwiedź nadreński zostawił na postrach dla ludzi „o letnim sercu", pochodzi z tych czasów, w których wystarczyło na znak protestu wymazać dedykację na III Symfonii, gdy pierwszy konsul ogłosił się cezarem. Lecz bądźmy spokojni, że i dziś każdy, kto potrafi stworzyć dzieło o takim artystycznym ładunku, pozostawi ślad trwały, niezależnie od tego jakie „izmy" do niego przyczypimy. Jeśli bowiem eksperymenty nie będą nigdy czymś, co by miało „masowy zbyt", to przecież w atmosferze artystycznej wrocławskiego zjazdu, nikt nie negował konieczności pozostawienia artystom zupełnej swobody w poszukiwaniu własnego wyrazu.

W trzecim dniu kongresu odbył się we wrocławskim studio Polskiego Radia koncert katowickiej orkiestry PR pod batutą Witolda Rowickiego. Program był dobrze dla cudzoziemców wybrany: urocza uwertura „Flis" Moniuszki, IV Symfonia Szymanowskiego, w której partię fortepianową wykonał znakomicie Jan Ekier (ktoś słusznie zauważył, że Szymanowski nie słyszał nigdy tak dobrze wykonanej IV Symfonii!), „Stanisław i Anna Oświęcimowie" Karłowicza i „Uwertura tragiczna" Panufnika. Ten przekrój polskiej twórczości muzycznej ostatnich 80-ciu lat był wspaniale podany. Warszawa ocenić to mogła na trzech koncertach w „Romie", z których ostatni ma miejsce w chwili składania niniejszego numeru. Fitelberg i Rowicki przy pulpicie i Ekier w tej samej IV Symfonii Szymanowskiego, z tą najlepszą naszą orkiestrą, to trzy imprezy, które stolica ocenia należycie: dowodem tego jest, że publiczność zamiast jak zwykle śpieszyć się po płaszcze, nie chciała opuścić sali i długo stała robiąc owację. Warto podkreślić ten fakt, niezwykły dla stałego koncertowego bywalca. Słuchacze oceniają jakość towaru, który im się podaje!

Niezmordowany Grzegorz Fitelberg dyrygował symfonią Lutosławskiego, o której już na tym miejscu pisałem. Mimo woli nasuwa się zestawienie jej z „metodyczną", jednoczęściową uwerturą Panufnika, którą dał nam Rowicki. Wszystko tak inne w obu tych dziełach, powstałych w ostatnich czasach. Dwie indywidualności i dwa zupełnie różne światy muzyczne.

W ramach tego notatnika jeszcze nieraz przyjdzie nam zetknąć się z sylwetami tych kompozytorów, odkładam więc na później ich omówienie, składając tymczasem entuzjastyczny hołd pod adresem Orkiestry Polskiego Radia, jej dyrygentów i Jana Ekiera, wykonawcy „czwartej".

Zygmunt Mycielski

Sprawy

Konfesjonał Szaniawskiego

Jerzy Szaniawski należy do zupełnie ginącej kategorii pisarzy. Tych mianowicie, którzy obrawszy dla siebie ustalony gatunek literacki, wyłącznie w nim się wypowiadają. Bo typem pisarza jest dzisiaj autor wszechstronny, szczególnie w takich rodzajach pisarstwa, jakie się łączą z codziennym i czasopiśmienniczym kontaktem z czytelnikiem. Jeżeli poeta, to zarazem obserwator idei lub teoretyk własnego czy uznanego za wzór warsztatu. Jeżeli prozaik, to zarazem krytyk teatralny. Jeżeli prozaik, poeta i dramaturg, to jeszcze na dodatek epistolograf.

Macie trudności z podłożeniem nazwisk pod te zdania? — Miłosz, Przyboś, Breza, Iwaszkiewicz. Tylko krytycy są jakoś zacukani i nie śmieją sięgać po twórcze garnki, lepione często przez majstrów o wiele od nich gorszych. I skromnie te garnki nabywcom zalecają.

W okresie Młodej Polski takich jak Szaniawski twórców było więcej. Wyspiański, Reymont, Berent, kiedy mieli coś do powiedzenia, nie pisywali artykułów, ale od razu dramaty i powieści. Dzisiaj jedynie Staff przypomina Szaniawskiego swoim obyczajem pisarskim. Dlatego to, kiedy pisarz podobnego gatunku przerwie swoje milczenie, ze wzmożoną ciekawością sięgamy po jego tekst. Porównujemy, ważymy.

Mało kto zaś pamięta, że Jerzy Szaniawski w ostatnich miesiącach kilkakrotnie złamał regułę swojego zakonu literackiego. Uczynił to wszakże w piśmie, które poza Krakowem raczej jest mało znane, jako że tylko w Krakowie dodołączane jest do programu teatrów tego miasta: „Listy z Teatru" redagowane przez Wojciecha Natansona w sposób naprawdę żywy, interesujący i inteligentny. Ta dosyć osobliwa stronica, na jakiej przemówił wielki milczek naszego dramatu, i tematy przez niego poruszone — wszystko to daje ku temu prawo, by na artykuły Szaniawskiego szerzej zwrócić uwagę.

Oto one: „Kasa teatralna" („Listy z Teatru" 1916 nr 1), „Juliusz Osterwa i pisarz polski" (1947 nr 14), „Perzyński — pisarz znakomity" (1948 nr 22) oraz przemówienie przy wręczaniu nagrody literackiej miasta Krakowa. (1947 nr 11). Niewątpliwie najciekawszy z tych artykułów to wypowiedź na temat Perzyńskiego. Z dwóch zasadniczych powodów. Szaniawski podejmuje gorącą apologię twórczości autora „Szczęścia Frania".

„Podczas wojny przeczytałem na nowo wielu pisarzy, którymi się zachwycałem, których nawet kochałem w młodości. Oni to wówczas gasili swą wspaniałą wielomówności i barwami Perzyńskiego, ze smutkiem podczas ponownego czytania stwierdziłem, że miłość moja dla wielu tych pisarzy „ochłodła", Perzyński, którego od młodości zacząłem cenić jednak wysoko, wcale się nie zmienił".

Ta apologia dotyczy przede wszystkim Perzyńskiego jako dramaturga. O jego powieściach Szaniawski zdanie posiada o wiele mniej pochlebne, ale tak swój sąd formułuje, że jego sceptyczna ocena uderza również w powieść w ogóle. „Perzyński czuł się najlepiej w utworach krótkich, jak felietony, nowele. Zdaje się, że nieco gorzej — w powieści. Pewien redaktor-wydawca chwalił się niedawno, że on to właśnie namówił Perzyńskiego do pisania powieści rzekomo dlatego, aby się pisarz „nie rozpraszał". Nie wiem, czy jest się czym chwalić, właśnie w powieści jest więcej miejsca do rozpraszania".

Dlatego podkreślam ten nierówny rozkład uznania dla Perzyńskiego, ponieważ pisarz ten posiada dzisiaj zdeklarowanego obrońcę w osobie K. W. Zawodzińskiego, i to właśnie obrońcę jako powieściopisarz. Zawodziński przy różnych okazjach wypowiadał swoje wysokie mniemanie o dorobku powieściowym Perzyńskiego na tle dwudziestolecie. Wiele bym dał, by usłyszeć dyskusję na ten temat pomiędzy Szaniawskim a Zawodzińskim. Chociaż może nawet nie warto... W odpowiadającym wyłącznie monosylabami autorze z „Dwóch teatrów" plotka literacka doszukuje się autoportretu Jerzego Szaniawskiego. Wobec tego rozmowa taka gotowa wyglądać jak scena z dramatu Romana Brandstaettera. Saskia, Ksawera Deybel, Zawodziński — mówią, mówią, mówią. Rembrandt, Mickiewicz, Szaniawski — milczą, milczą, milczą.

Apologia Perzyńskiego-dramaturga niespodziewanie przemienia się u Szaniawskiego w wyznanie, w mimowolną opowieść o własnej sztuce dramatycznej, o własnym ujęciu miejsca pisarza w społeczeństwie. Darujcie, ale muszę cytować, i to długo cytować. Wierszówka za cytaty niech idzie na odbudowę Warszawy.

„Teatr wzbogaca, nadaje barw, ożywia, wielu pisarzy czeka na to ożywienie, technika pisarska ich tekstów liczy na te właściwości teatru. Niektórym jednak autorom nadmiar tego, co może dać teatr, nie pomaga. Jest to sprawa gatunku pisarskiego. Perzyński — widzę go zawsze jako rysownika między malarzami. Papier i ołówek to nie to samo co płótno i olej. Dziecko, gdy dostanie pudełko z farbami, a ma pod ręką starą książkę, gdzie są drzeworyty, chce je wypełnić kolorami, dziwi się ono, że „starsi" wcale tym pomysłem nie są zachwyceni i zabierają mu książkę. „Starsi" mają rację: dziecko popsuło by kolorami urok starego drzeworytu, wypływający już z samego „gatunku". I Teatr Perzyńskiego nie lubi takich domalowań. Zdaje mi się, że te utwory zyskałyby w jakimś teatrze „literackim", bliższym estrady lub sceny, gdzie dyskretni aktorzy z typu intelektualistów staraliby się głównie o to, aby jak najlepiej podać słowo, zawierające w swoim toku i rysunek postaci i dowcip często bardzo delikatny, bardzo ciekawy".

O kim to mowa, czyje sztuki tak właśnie grać należy?

„Czy był pisarzem wielkim? Nie wiem. Usunął się od wielkich, stał na uboczu. Więc nie należy go z innymi przymierzać. Nie podwyższał się na ukrytych szczudłach. Nie stał między „nauczycielami narodu", może dlatego, iż nie sądził, że jak już pisarz, to posiadł wszystkie rozumy i wie napewno, jak powinno być na świecie. I nie był gościem w gospodzie „Pod wielkim Kabotynem", w której lubią przebywać — jak twierdzą złośliwi — i najwięksi w narodzie, a więc i pisarze. Był zawsze sam".

Któż to był podobnie sam i jest nim nadal w naszym dramacie, chociaż twierdzi, że znalazł samotnika podobnego sobie, że o nim jedynie mówi? Gdyby Szaniawski nie był autorem tych ustępów, tylko do niego mogłyby się one odnosić. I napewno w kształcie niezamierzonego wyznania jego również dotyczą i jego określają.

Wojciechowi Natansonowi będzie napewno poczytane pomiędzy zasługi i zmazane zostaną nieliczne winy tego najłagodniejszego z krytyków, że tak umiejętnie wprowadził Szaniawskiego do konfesjonału, którego kratka zowie się „Listy z teatru".

kjw

W poprzednim 37 (198) numerze „Odrodzenia" z dnia 12 września 1948 r.: **K. I. Gałczyński:** Nowe wiersze: Na śmierć Esteriny, deportowanej przez hitlerowców Wenecjanki, Epistoła do zakochanych, Venus. — **Ks. Jean Boulier:** Chrześcijaństwo w obronie pokoju. — Telegramy na konkres wrocławski: **G. B. Shaw; Compton Mackenzie.** Głos uczonych: Oświadczenia przesłane na kongres wrocławski: **Joseph Needham; E. M. Forster.** — **Antoni Słonimski:** Rozmowy o kongresie. — **Jerzy Putrament:** Ruciany i Węgorzewo. — Rysunki z Pomorza Zachodniego Adama Marczyńskiego. — **Edmund Osmańczyk:** Listy z Niemiec: Nauka niemiecka. — **Stanisław Wygodzki:** Stopnie nienawiści. — **Jan Lenica:** Zagadnienia plastyczne Wystawy Ziem Odzyskanych. — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny: „Muzyka polska" prof. Jachimeckiego. — Książki: („Prawo norymberskie — bilans i perspektywy" Tadeusza Cypriana i Jerzego Sawickiego); Proza autentyczna: („Moja walka o życie" — Krystyny Nowakowskiej); Biografia: („Feliks Dzierżyński — Jego życie, praca, walka" — Tadeusza Daniszewskiego). — **Jerzy Płażewski:** „Zielone lata" — film amerykański. — „Okoliczności łagodzące" — film francuski. — Korespondencja: Mała rzecz a wstyd duży; Sprostowanie. — Teatr Dolnośląski. — **Zygmunt Kałużyński:** Drobiazgi francuskie. Duke Ellington w Paryżu; Sukces groteski „Branquignol", czyli „A l'americaine". — Camera obscura. — 24 ilustracje. — 8 stron

ARTUR MARYA SWINARSKI

Rewolucjonista z musu



„Swantewit" Perkowskiego. Werner, Stańczak i Żmuda. Scenograf: Stopka.

1

Podczas swych wizyt teatralnych w Pradze zauważyłem, że Czesi niewielu mają dobrych aktorów. Ich brak starają się maskować kurczowym nowatorstwem w inscenizacji, superpomysłowością reżysera i przesadnie wymyślnymi dekoracjami.

Mam wrażenie, że w podobnej sytuacji jest choreograf Jerzy Kapliński.

Powojenny balet Opery Poznańskiej zastygł przede wszystkim wznowieniem „Harnasiów" Karola Szymanowskiego, które było czymś więcej niż zwykłym wznowieniem (premiera polska odbyła się również w Poznaniu, w roku 1938). Kapliński stworzył nowy układ choreograficzny, a scenograf Janasik dał baletowi oprawę oryginalną tym, że wzorowana była na drzeworytach ludowych i utrzymana wyłącznie w czerni i bieli. Dwie poprzednie premiery baletów polskich („Cagliostro w Warszawie" Maklakiewicza i „Swantewit" Perkowskiego) sławę baletmistrza jeszcze wzbogaciły: zaczęto o nim mówić, że zrewolucjonizował choreografię; o jego zespole, że jest najlepszy w Polsce; a o primabalerinie poznańskiej, że jest wręcz genialna, że jest reinkarnacją Carlotty Grisi i Taglioni, że jest polską Pawłową, polską Karsawiną itp.

Ostatnio ten głośny balet przedstawił się stolicy.

2

Kapliński bezsprzecznie jest rewolucjonistą — ale czy nie został nim z musu?

Karsawinę widziałem mając lat trzynaście (tańczyła wtedy jeszcze z Niżyńskim), Pawłową mając lat dziewiętnaście — i oczywiście nie potrafię dzisiaj przeprowadzić żadnych porównań. Ale nie mam wątpliwości, że Barbara Bittnerówna jest nie tylko najlepszą, najbardziej wszechstronną tancerką polską, lecz fenomenem wyjątkowym. Technikę opanowała bez reszty i dopracowała ją do ariełowej wprost lekkości. Na podstawie tradycyjnych pas daje nowe skojarzenia pełne bogatej inwencji; deformuje twórczo stare arabeski i attitudy; ma odwagę odtańczyć w słowiańskim „Swentewicie" solo wschodnie, solo zresztą o wymowie rąk przypominającej maestrię Japonki Misao Eguczy albo Hiduski Menaki. Ciało i twarz Bittnerówny ma wyrazistość, której mogą jej pozazdrościć aktorki; a jest w tym drobnym korpusie zdumiewająca siła fizyczna — i Bittnerówna popisuje się nią chętnie, utrudniając sobie niektóre pas męczącymi „plié" i „demi-plié", bez których mogłoby się obyć, ale żywiołowy ferwor tancerki widocznie się bez nich obejść nie potrafi — tańczy sobie a Terpsychorze, nie bacząc, czy oszołomiona publiczność doceni te finezyjne ozdoby na klasycznej architekturze.

Dobrym, wielostronnie uzdolnionym tancerzem jest sam Kapliński; ma zdecydowany pociąg do groteski, do akrobatyki i do wszystkiego, co przeskakuje granice czystego tańca. Sam niestety występuje rzadko; w „Szeherezadzie" był bardzo elastyczny i zwinny, wkomponowywał się w przestrzeń z bogatą różnorodnością ruchów i póz.

A reszta dużego zespołu? Są tam ludzie prawdziwie utalentowani, ale jest ich niewiele — i kto wie, czy zebrałoby się cztery pary do mazura! Są ludzie mało i bardzo mało zdolni, są ludzie niedouczeni i tylko wyuczeni, wytresowani, lecz bez nerwu tanecznego, bez tej iskry, która przecież wśród Słowian jest darem prawie powszechnym. I u wielu czuje się brak szkoły klasycznej, szczególnie u mężczyzn. Z tańcem klasycznym sprawa ma się podobnie jak z pływaniem na żaglowcu. Każdy marynarz musi przejść przeszkolenie pod żaglami, chociaż potem będzie pływał na motorowcach czy parowcach, bo tylko pod żaglami pozna dokładnie morze i nauczy się nad nim panować. I każdy tancerz, nawet gdy ma zamiar specjalizować się w innym rodzaju tańca, musi wpierw, i to przez parę latek, wynudzić się w szkole klasycznej, by poznać swoje ciało i nauczyć się panowania nad nim. W zespole Kaplińskiego jest niewielu ludzi spod żagli...



„Szeherezada" Rimski-Korsakowa. Zienkówna i zespół. Scenograf: Kapliński.

3

Więc musi Kapliński być rewolucjonistą. Bo kiedy zakomenderuje swojemu zespołowi: „hic Rhodus, hic salta!" — owe salty wypadają na ogół smętnie. Mazur w „Strasznym dworze" jest straszny, nie jest dworski, jest wszystkim tylko nie mazurem. Polka-mazurka w „Onieginie" rozgalopowana i rozczochrana; a przecież Czajkowski z rozmysłem przeciwstawia szerokim polonezom i ekosezom z petersburskiego balu w odsłonie szóstej — tę właśnie kameralną polkę-mazurkę w małym dworku Łariny (odsłona czwarta), więc ten kontrast należy zachować.

A walce w straussowskiej Bagateli? Oprócz Bittnerówny, dziewczyny do wszystkiego, tylko jeden Bronisław Mikołajczak umie jeszcze tańczyć prawdziwego, starego, wiedeńskiego walca na trzy pas i tańczy go tak, że sama Messalka biłaby mu brawo! Więc Kapliński czaruje sztuczkami, anegdotą, żartem parodią, groteską i wszystko to urocze i zabawne na tle dowcipnej dekoracji przedwcześnie zmarłego, a tak bardzo zdolnego przyjaciela naszego Wita Gawęckiego, ale duch Jana Straussa nie unosił się nad tymi „walcami", a jeżeli się unosił, to chyba z oburzenia.

Niewyraźnie i jałowo wypadł balet w czwartym akcie „Carmen", u panów było za mało samczej męskości (a przecież to Hiszpania!) W „Aidzie" nie dopisała nawet Bittnerówna. Antyczny balecik z „Hrabiny" bardzo efektowny, ale dziurawy i niedotańczony. A klasyczną „Serenadę" (do muzyki Mozarta) ratowała znów Bittnerówna; i Bogusław Stańczak, urodzony tancerz, chociaż w skokach nie tęgi, ale dochodzą słuchy także z zagranicy, że panuje teraz ogólny nieurodzaj na skoki. Polkę w „Sprzedanej narzeczonej" widziałem w praskim Narodnim Diwadle i odtąd mi już żadna polka nie smakuje; lepiej udał się „furiant" w drugim akcie (Zienkówna, Żmuda, Werner, Nowicki i arcy-czeski Stańczak), a po prostu rolla się od dobrych pomysłów „skoczna" w cyrku z ostatniego.

4

Bo na szczęście ma Kapliński pomysły. Rozwinął swoją inwencję i swoją pasję rewolucyjną w całej pełni w „Swantewicie" Piotra Perkowskiego.

Tańca tam mało, bo muzykę Perkowskiego trudno odtańczyć. Są co prawda fragmenty bardzo rytmiczne, np. w akcie drugim scenka tuż przed finałem, gdy dwie panny (Mikulinowa, Kamińska) zapraszają swą towarzyszkę (Zienkówna) do zabawy krótkotrwałym tańcem, który ona podejmuje; i parę urywków w tańcach ludu wiejskiego. Ale na tym właściwie koniec. I zaczyna się rewolucja Kaplińskiego.

A więc skróty fabularne. W akcie pierwszym trójka młodych bohaterów (Stańczak, Żmuda, Werner) zasypia nagle i bez wstępów, w przeciągu jednego taktu (glissando na harfie). W ostatnim akcie jeszcze odważniejszy skrót: przebieg całej nocy skondensowany w czterech, pięciu taktach: Dziwożona (Bittnerówna) układa się na kolanach swej świty, która okrywa ją ramionami; po chwili ożywienie w orkiestrze, ramiona odsłaniają się, Dziwożona wychodzi spod nich, jest poranek i akcja toczy się dalej. To są chwyty nowe, które mogą przyczynić się do zreformowania naszego baletu, trwającego zawsze jeszcze w tchórzowskiej niewoli realizmu.

Następnie — miast tańca pochody o czystym nonsensie, ruchome figury z ciał leśnych dziwadeł i widziadeł, chochlików i błędnych ogników (pysznie przyodzianych przez Andrzeja Stopkę); igraszki i kapriole, akrobatyka i ekwilibrystyka bez treści przeważnie, pozy dla pozy, obrazy dla obrazów. Nie wiadomo prawie nigdy, o co chodzi w tych ewolucjach (prym wiodą Lupówna, Majewska, Rudzki i Drzewiecki, tancerz o uskrzydlonych, jak u Hermesa, stopach) — zostaje po nich osad nastroju upiornej nocy w trzęsawiskach, nastroju, który wywołać nie stara się nawet dekoracja, a który stworzył jedynie choreograf. To wszystko stoi poza tańcem, nawet poza tak zwanym „tańcem plastycznym" — a zawdzięcza swoje narodziny dwom okolicznościom: brakowi rytmu tanecznego w muzyce i (patrz wyżej) wątłym siłom zespołu. Bo że nie wyłącznie anty-taneczności utworu, tego dowodem Bittnerówna, która, jak to trafnie zaobserwował Mycielski, tańczy nawet wówczas, gdy nie tańczy — jest wymowna także w milczeniu.

Jeszcze słowo o współpracy Kaplińskiego ze scenografem „Swantewita". Osobliwą koleją rzeczy projekty dekoracji były gotowe przed ustaleniem libretta i choreografii. Stopka umieścił na pochyłym terenie wielkich rozmiarów koła pod posągiem (doskonale postawionym i oświetlonym przez tego maga reflektorów, lecz niestety osłabionym sąsiadującą harfą o kształtach secesyjnych); ten motyw dekoracji przejmuje choreograf: od razu na wstępie stosuje go w ruchach kapłana (Mikołajczak) i w kręgach tanecznych wiejskiego ludu. Współpraca dwóch rewolucjonistów sceny dała w „Swantewicie" zresztą zawsze efekt interesujący.

5

Mało tańczono w „Szeherezadzie" Rimski-Korsakowa i nie zbyt dużo w „Nocy na Łysej Górze" Mussorgskiego, mimo że muzyka tych baletów jest bardzo taneczna. Ale fantazja Kaplińskiego ratowała i tutaj widowiska — anegdota, stylizacja, demonologia, nastrojem i... dekoracjami. Bo jak ratować, to ratować pełną siłą, więc Kapliński zaprojektował dekoracje i kostiumy do obydwóch baletów (zresztą także do „Serenady" Mozarta).

W „Szeherezadzie" jest trochę reminiscencji ekspresjonizmu niemieckiego (krzywe obwódki w architekturze pierwszego obrazu), a fale w drugim przypominają wnętrze z roczników „Chimery". Ale tyle tylko można zarzucić Kaplińskiemu scenografowi. Dekoracja „Nocy na Łysej Górze" wręcz rewelacyjna, kostiumy „dzwonu" i dwóch diabłów „Kozerów" z kartami skomponowane trafnie i pomysłowo, a wszystkie kostiumy w „Szeherezadzie" bogate w barwie i kroju. Poznaniowi, tak obficie zaopatrzonemu w scenografów, przybył w Kaplińskim jeszcze jeden i to klasy niepośledniej.

...I przyznam się, że mnie te malarskie prace Kaplińskiego wzruszyły. Bo jakże mocno świadczą o tym, że ten człowiek jest duszą i motorem pędnym poznańskiego baletu. Bez niego (i bez Bittnerówny) rozleciałby się na bardzo drobne, bardzo nikłe kawałki. Gdzie zespół niedomaga, Kapliński maskuje jego braki i konstruuje swoje balety tak, że oko niefachowca tych braków nie spostrzeże; i nawet ubiera swych tancerzy, oprawia ich i wyprawia, by byli strojni i przystojni. Robi co może. Robi bardzo dużo. Ale przecież nic nam nie potrafi zastąpić prawdziwego tańca. Gdy zatańczy Borkowski, Milon, Maciaszczyk, Kiliński czy Nowak (nie mówię już o starszych), któż wtedy zastanawia się nad krojem ich kostiumów? A balet Domu Wojska Polskiego obywa się prawie bez dekoracji. Rewolucja rewolucją — i dobrze, że mamy tego tęgiego rewolucjonistę i nowatora Kaplińskiego, bo, z musu czy nie z musu, przysłużył i przysłuży on się jeszcze naszemu zmartwychwstającemu baletowi — ale życzymy mu przecież jednego: tancerzy!

Artur Marya Swinarski



„Harnasie" Szymanowskiego. Bittnerówna i Kapliński. Scenograf: Janasik.

Redakcja „ODRODZENIA" prosi Firmy Wydawnicze o przysyłanie na adres redakcji (nie imiennie) dwu egzemplarzy książek i zaznacza, że jedynie w tym wypadku książki te będą recenzowane.

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 w ubiegłym tygodniu otrzymała ob. Zofia Wałaszewska, Warszawa, Królewska 2, za wycinek z „Posłańca".

PLAŻA

Nawet plaża poddała się ogólnemu prądowi zrównania wszystkich z wszystkimi.

To też, gdy popatrzy się na plażę z daleka, to istny wyrąb mięsa... Jedni czy jedne idą na plażę dla odpoczynku. Inni dla rozrywki... A jeszcze inni dla flirtu, przygód, a nawet, niech mi się w tym miejscu podrze papier, dla rozpusty! — Wszak różni, różne wyznaczają sobie cele...

Widywałem codziennie na plażę zdążającego starszego, dobrze już podłysiałego pana, który specjalnie upodobał sobie miejsca, gdzie przeważały kobiety, uczennice. To nic, że go nazywano starym rozpustnikiem. On, owszem, chlubił się tym i mawiał, że „strasznie lubi niebezpieczeństwa"! Chichotały na jego widok dzieci, śmiała się i drwiła z niego młodzież (podobno dawniej był wychowawcą), dowcipkowały panie, szeptały coś między sobą uczennice. A on, niski, a gruby, na nieproporcjonalnie cienkich, do swego brzucha, nogach, w kąpielówkach tylko, apostołował na rzecz szatana. Tu rzucił brudny żart, tam dwuznacznik powiedział, gdzie indziej nie cofnął się przed propozycjami czy wręcz nieskromnymi ruchami.

Słowem, swoim zachowaniem się urągał i swemu wiekowi, otoczeniu, a zwłaszcza moralności.

Niektórzy mówią, że to on właśnie, jeszcze jako wychowawca zabił duszę w Jasiu. Od niego to słyszał kpiny ze Mszy św. On wydrwiwał modlitwę, on wreszcie stał się Jasia ideałem!...

Hej, Jasiu, Jasiu! — I owszem! — kąp się w złotych promieniach słońca. Upajaj się świeżyzną lasów, zielenią pól! — Pływaj i ćwicz członki swoje, wzmacniaj muskuły, to wszystko ci wolno. Tylko, Jasiu, nie zapominaj, że jesteś Polakiem, a nie murzynem spod równika, z dżungli afrykańskich.

Ocknij się, Jasiu, plaża nie dla ciebie... i nie dla twoich kolegów. W sam raz dla takich starszych panów, którzy straciwszy duszę, nie mają już nic do stracenia... Rozumiesz?

Bronisz

Źle cię uczą Jasiu! Nasuwają ci w czasie kąpieli na plaży „brzydkie myśli", których dotąd nigdy nie miewałeś. Uczą cię pogardy dla starszych panów, a przecież i twoi rodzice i rodzice twoich kolegów odwiedzają plaże w upalne dni i wcale nie zachowują się tak, jak „pan" wymyślony przez p. Bronisza. Uczą cię unikać plaży, to znaczy miejsc specjalnie przeznaczonych do kąpieli, bezpiecznych i pilnowanych przez straż rzeczną, a polecają ci miejsca odosobnione, pełne wirów, gdzie w razie wypadku nikt nie usłyszałby nawet twojego wołania o pomoc. Uczą cię nierówności rasowej, wyrażając się pogardliwie o „murzynie spod równika, z dżungli afrykańskich", a pamiętaj, Jasiu, że po to była wojna z hitleryzmem, żeby Jasiów nie nauczano więcej w ten sposób.

LEKCJA HISTORII

Od dr. Adama Wolffa, Warszawa, plac Zamkowy 2, otrzymaliśmy list, którego fragmenty przytaczamy:

„...Przede wszystkim — tekst, o który chodzi. Jest tak krótki, że go przepisuję. Chodzi o „Odrodzenie", nr 33 (194) z dn. 15.VIII.1948, o ostatnią pozycję „Camera Obscura". Brzmi ona:

„Rzeczpospolita" uczy nas w rubryce pt. „5 minut historii Warszawy": 25 lipca 1796 roku Janusz książe Mazowiecki wystawił najstarszy ze znanych nam przywilejów — przywilej dla Warszawy, w którym zezwolił mieszkańcom na budowę łaźni.

Janusz książę Mazowiecki umarł w 1525 roku. Rzecz — pospolicie wiadoma".

Niestety — pisze dr Wolff — komentarz jest tu potrzebny. Przywilej na budowę łaźni wydrukowany został temu lat 35 (w r. 1913) przez Wierzbowskiego (Przywileje król. m. st. Starej Warszawy) pod numerem 1. Nosi datę: 26 lipca 1376. „Rzeczpospolitej" trafił się więc lapsus, błąd zapewne korektorski... natomiast lekcja historii udzielona „Rzeczpospolitej" powinna być poprawna. A tymczasem w r. 1525 nie umarł książę Mazowiecki imieniem Janusz. Janusz III, ostatni książę mazowiecki zmarł dopiero w r. 1526. Wiadomo o tym od dawna. Przeszło pół wieku temu wydał Balzer swoją „Genealogię Piastów" i na tej podstawie datę śmierci Janusza III powtórzyły oba wydania „Vade Mecum" — pracy, która powinna być pod ręką każdego historyka, zwłaszcza dającego lekcji. Ale niestety zmarły w r. 1526 ks. Janusz III nie był tym samym, który wystawił przywilej na łaźnie. Owym dobrodziejstwem Warszawy był Janusz I, zwany starszym, prapradziad Janusza III. Zmarł on w r. 1429... Więc nie obciążam winą składacza, lecz proponuję „Lekcji historii" sprawić łaźnię".

CO GRAŁ „PALENICZEK"?

„Echo Krakowa" donosi:

Po odegraniu przez wybitnego muzyka brazylijskiego, Estrella „Passionaty" Bethovena i „Etiudy rewolucyjnej" Chopina, Maurice Bedel przewodniczący francusko-polskiego komitetu organizacyjnego Kongresu, powitał zebranych.

W „Dzienniku Polskim" czytamy:

Przy fortepianie zasiada pianista czechosłowacki Józef Paleniczek. Tony Apassionaty Beethovena płyną na salę. Intelektualiści całego świata wśród głębokiej ciszy wysłuchują dzieła znakomitego twórcy.

A z „Wieczoru" dowiadujemy się:

Zamiast przemówień powitalnych — znakomity pianista Polaniczek odegrał Etiudę Rewolucyjną Chopina i Apassionatę Beethovena.

Pytamy wielkim głosem: Kto grał? Paleniczek, czy Polaniczek? Etiudę Rewolucyjną, Apassionatę, czy Passionatę, czy też co innego? (Suk? Novak? Fibich?). Na pewno wiemy tylko to, że Polaniczek (Paleniczek) grał i że nie jest Brazylijczykiem, jak pragnie „Echo", lecz Czechem. A może żadnemu z intelektualistów nie wypadało zapytać Paleniczka (Polaniczka) o to, co grał i pozostanie to wieczystą tajemnicą?

STAŁO SIĘ...

Janusz Minkiewicz narzeka w „Pigułkach" na zbytnią rezerwę prasy w sposobie reklamowania pisarzy. Zazdroszcząc sławy kolegom sportowcom proponuje tytuły w rodzaju:

ANDRZEJEWSKI ZDOBYWA ZŁOTY MEDAL „ODRODZENIA"
FATALNY PECH ADOLFA RUDNICKIEGO
DYGAT SKARŻY SIĘ NA NIESPRAWIEDLIWOŚĆ SĘDZIÓW
PRZYBOŚ REPREZENTUJE NASZE BARWY W SZWAJCARII
BRANDYS W ZNAKOMITEJ FORMIE
UDANY START BOROWSKIEGO

Swoją propozycję poprzedza redaktor „Pigułek" poważną argumentacją:

I wewnętrzne, krajowe poczynania artystyczne rzadko znajdują oddźwięk w prasie. Przez sześć tygodni jeździliśmy z występami autorskimi po Polsce. Wszędzie mieliśmy nadspodziewanie gorące przyjęcie. Zarówno wśród płatnej publiczności, jak i na bezpłatnych występach wśród robotników. Poza kilkoma mdłymi recenzjami w prasie codziennej, spotkaliśmy się tylko z niewybrednymi napaściami w pewnym „zachodnim" oraz „bałtyckim" dzienniku i z ironicznymi uwagami naszych zawistnych i zawiedzionych kolegów w „bratnich" „Szpilkach" i „Kuźnicy".

Mimo szczerych chęci nie wzruszyły nas łzy Minkiewicza, bo oto już miesiąc przedtem przeczytaliśmy właśnie w „Dzienniku Zachodnim" felieton Wilhelma Szewczyka, oparty na zasadach lansowanych po miesiącu w „Pigułkach":

Przez pewien czas leaderem pierwszej ligi pisarskiej był Tadeusz Breza („Mury Jerycha"), dziś spadł na jedno z niższych miejsc, a złośliwi mówią że wkrótce będzie outsiderem naszej ekstra-klasy. Wspinał się także w górę Stanisław Dygat, zwłaszcza po „Jeziorze Bodeńskim", ale wystarczyły „Pożegnania" (Klub Odrodzenia) by stracić szanse na zajęcie lepszego i utrzymanie dotychczasowego miejsca. Zresztą wszyscy sędziowie-krytycy byli w tym wypadku zgodni (?), nawet sędziowie liniowi („Kuźnica" i „Tygodnik Powszechny"). Dzięki ustawicznej pracy nad sobą utrzymał swe, lekko zresztą wywalczone miejsce w ekstra klasie Wojciech Żukrowski, a poprawił swą lokatę po opublikowaniu „Popiołu i diamentu" Jerzy Andrzejewski".

„Na czele drugiej ligi, jeszcze nie punktowanej, kroczył przedwojenny as w tym rodzaju — Arkady Fiedler, za nim tuż, tuż Meissner i Morcinek, wreszcie nowy talent — Jan Dobraczyński. Ubyła w czasie wojny z tej grupy leaderka ligi — Maria Rodziewiczówna, opadł na siłach Jan Wiktor. Ale grupa zaczęła się powiększać. Zasilił ją i Gołubiew z potężnym „Bolesławem Chrobrym" i Kazimierz Brandys, który stanął na pograniczu obu klas, ale wartościami artystycznymi raczej kwalifikuje się do klasy drugiej, co mu bynajmniej ujmy nie przynosi".

Czy o taki styl walczy Janusz Minkiewicz, czy też o to, by w takim stylu pisano o nim? — Niechże poprosi o recenzję z objazdu specjalistę — Szewczyka, zamiast wylewać łzy wielkości „pigułek"...

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40.180-90 wewn 22 — Redaktor przyjmuje od g. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO — I. 4739
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-57355 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"